№ 7. Warszawa, dnia 1 (13) Lutego 1886 roku.

TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOSI:

W Warszawie rocznie rs. 7 kop. 20, półrocznie rs. 3 kop. 60, kwartalnie rs. 1 kop. 80, miesięcznie kop. 60. **Na Prowincyi** rocznie rs. 10, półrocznie rs. 5, kwartalnie rs. 2 kop. 50. **We Lwowie** kwartalnie w miejscu złr. 3, na prowincyi z przesyłką pocztową złr. 3 cen. 80. **W Krakowie** kwartalnie w miejscu złotych reńskich 2 cen. 75, na prowincyi z przesyłką pocztową złotych reńskich 3 centów 50. **W Poznaniu** kwartalnie w miejscu marek 5, na prowincyi z przesyłką pocztową marek 6.

Adres: J. K. Gregorowicz w Warszawie, ulica Widok Nr 3.

Z LITERATURY ZAGRANICZNEJ.

Dramat p. t. Jakobini Franciszka Coppée i komedya p. t. Sokrates i Ksantypa Teodora Banville.

W Paryżu w ostatnich czasach przedstawiono na scenie dwie nowe sztuki napisane z niepospolitym talentem.

Dramat w pięciu aktach p. t. Jakobini, napisany przez Franciszka Coppée, osnuty został na dziejach Szkocyi, gdy w roku 1688 Wilhelm dawny książę Oranii, zrzucił z tronu angielskiego Jakóba II i zajął jego miejsce, łącząc tym sposobem w jedną całość dwa sąsiednie narody. Zwolennicy upadłej dynastyi, nazywani Stuartystami przybrali miano Jakobinów od imienia dawnego ich monarchy. W roku 1745 syn Jakóba III Karol Edward postanowił z bronią w ręku dochodzić praw swoich do tronu Szkocyi, ale porażony na głowę pod Culloden zniewolony uciekać, umarł na stałym lądzie bez chwały i potomstwa. Od tej chwili Szkocya zaniechała dalszych usiłowań do odzyskania niepodległości, hanowerska dynastya odtąd panuje bezspornie do dzisiejszego dnia nad obydwoma krajami, a choć nie zbywa może na zwolennikach rozdziału, ale nie ma już ani jednego Jakobina, prawego przedstawiciela rodu Stuartów.

Na takiem tle historycznem Franciszek Coppée ułożył dramat posiadający niepospolite zalety. Dowody poświęcenia wzruszą zawsze każde szlachetne serce, a choć nieuniknione są cienie jako dowód słabości ludzkiej, ale występek przedstawiony tu zręcznie, służy tylko do uwydatnienia wielkości charakteru innych osób, posuwających zaparcie do ostatecznej możliwości.

Znajdujemy się więc wśród zawziętych Jakobinów w chwili, w której Karol Edward wzywa swych zwolenników do walki w jego imieniu. Lord Fingal naczelnik jednego z ważniejszych klanów szkockich, chociaż wierny dawnej tradycyi narodowej, jednak waha się stanąć pod rozkazami pretendenta.

Nie można się temu dziwić, ma już przeszło lat pięćdziesiąt, zna dobrze potęgę Anglii, uważa odniesienie zwycięztwa za niepodobne, a umierać w obronie wyznawanych zasad jedynie dla samej chwały, nie ma chęci, zwłaszcza, że poślubił młodą i piękną kobietę, imieniem Dora, niezmiernie przez niego kochaną. Ale na nieszczęście, pani Fingal poznawszy młodego i przystojnego Karola Edwarda zostaje nagle zapaloną Jakobinką, nakłania nietylko męża do przyjęcia udziału w powstaniu, ale sama objawia gotowość walczenia w szeregach zbrojnych, celem odzyskania tronu dla narodowej dynastyi. Polityka, rzecz prosta, była tylko płaszczykiem pokrywającym wzbudzone w sercu młodej kobiety uczucia, na której wdzięki nie jest wcale obojętnym pretendent. Wśród utarczek wojennych dwoje młodych ludzi prowadzi romans, który mimo wszelkich ostrożności dostrzeżonym zostaje, a w umysłach innych obudza podejrzenie skłaniające do bliższego zbadania tajemnicy.

Karol Edward posiada większą zdolność do zdobywania serc niewieścich, aniżeli do wygrywania bitew i odzyskania tronu.

Do liczby najgorliwszych zwolenników Stuartów należy niejaki Angus bard szkocki, który poprzysiągł żyć z jałmużny i spać na gołej ziemi, aż do chwili odzyskania przez Szkocyą dawnej niepodległości.

Czterech synów Angusa zginęło w obronie rodzinnego kraju, została mu tylko wnuczka nazwana Maryą, na cześć dawnej królowej Szkockiej, żyjąca od dzieciństwa w atmosferze narodowych wspomnień. Potomek Stuartów zostaje prawdziwem bożyszczem młodej dziewczyny.

Skoro wylądował potajemnie na brzegi Szkocyi, powitany zostaje tylko przez Angusa i jego wnuczkę, na której czole składając pocałunek mówi: w twej osobie witam kraj cały. Od tej chwili biedna dziewczyna nie żyje jak tylko dla pretendenta, narażająca się ustawicznie na niebezpieczeństwa aby tylko oddać usługę Karolowi Edwardowi, raz jako monarsze, powtóre jako jedynemu przedmio-

towi jej dziewiczej miłości. Wraz z dziadkiem porusza lud wiejski do powstania, śledzi ruchy nieprzyjaciół i zawiadamia o takowych pretendenta a w nadgrodę odbiera złoto, choć przenosiłaby przyjazny od niego uśmiech lub serdeczny uścisk dłoni. Niezadługo zbieg wypadków dozwala jej odegrać jeszcze ważniejszą rolę.

Purytanie znajdujący się w obozie ostatniego Stuarta, dostrzegli potajemne jego schadzki z jakąś kobietą, nie wiedzą tylko jej nazwiska. Królewska lekkomyślność w każdym razie gorszy ich, ale gotowi są mu przebaczyć jeżeli tylko zalecanki nie zostały skierowane do której z żon lub córek szlacheckich. Chcąc rozproszyć wszelką wątpliwość, urządzają zasadzkę i natychmiast po wyjściu Karola-Edwarda zamierzają otoczyć tajemniczy dom, zrobić odpowiednie poszukiwania i jeżeli tylko pretendent znieważył jednego z nich, opuścić go gromadnie.

Rozmowę dotyczącą tego przedmiotu podsłuchała Marya, a to o czem nie wiedzą drudzy, ona wie dokładnie z kim monarcha spotyka się samotnie.

Ze wszystkich uczuć ludzkich, zazdrość niewątpliwie ma najbystrzejsze oczy. Biedna dziewczyna nienawidzi Dory z całej duszy, nie przyłożyłaby ręki do jej zguby, ale nie rozpaczałaby z pewnością, gdyby jej rywalkę okryła niesława. Zniewoloną jest przecież ratować takową, bo z losem Dory połączony jest los Edwarda Karola, bo jeżeli wykryte zostanie nazwisko wiarołomnej żony, sprawa Stuarta stracona raz na zawsze.

Nie było więc innego środka jak przekraść się nieznacznie do tajemniczego domku, ukryć Dorę a siebie poświęcić na podejrzenie moralnego upadku. Zamiar ten znajduje powodzenie, Marya wprowadza w błąd wpadających przemocą lordów i kiedy ci niedowierzają prawie własnym oczom, ona pokazuje kiesę złota jako wynagrodzenie jej uległości. Córka ludu, wedle przekonania wszystkich, nietylko nie wstydzi się, ale szuka chwały ze swego upadku, w takim zatem razie wszelkie zamiary zemsty nie byłyby na swojem miejscu.

Trzeba wybaczyć pretendentowi chwilową słabość i pozostać nadal w jego usługach.

Ale nie koniec cierpieniom biednej Maryi. Zjawia się bowiem Angus biorący także udział w zasadzce.

Na zrobione przez niego zapytanie, lordowie odpowiadają niedbale: nic ważnego, to tylko była prosta wieśniaczka.

— Czyż dlatego hańba mniejsza? — zapytuje starzec z goryczą.

Chce on jednak wiedzieć nazwisko kobiety pochwyconej na gorącym uczynku. Przemawia do niej łagodnie, ale nie otrzymuje odpowiedzi, bo Marya lęka się o następstwa strasznego ciosu, mającego spaść na głowę jedynego jej opiekuna. Angus przeczuwa jakąś tajemnicę, chce wiedzieć nazwisko winowajczyni, a skoro wszyscy milczą, pod wpływem zniecierpliwienia rzuca klątwę na jej głowę.

Niedokończył jednak, biedna dziewczyna pada na kolana z krzykiem rozpaczy: Ah! dziadku mój!

Łatwo zrozumieć boleść starca, trwa ona jednak krótko, po wyjściu bowiem lordów Marya rzuca się w objęcia Angusa z okrzykiem: Dziadku, skłamałam. Te dwa wyrazy, a raczej w języku francuzkim trzy „Grand-pere-j'ai menti" wyrażające nieskażoną niewinność dziewiczą, radość z ocalenia pretendenta i usunięcia boleści zrozpaczonego starca, wypowiedziała tak dramatycznie i z takim talentem początkująca artystka panna Weber, że oklaski i okrzyki uwielbienia przedstawienie na kilka minut przerwały.

Wtem wychodzi z ukrycia Dora i na kolanach błaga starca o przebaczenie za sprawioną mu boleść.

Zgrzeszyła ciężko łamiąc wiarę małżeńską, narażając nawet lekkomyślnością, całą sprawę niepodległości kraju, czuje dobrze ciężar gniotącego ją występku, ale zmyje takowy drogą poświęcenia. Dotychczas znajdowała się w obozie jedynie tylko przez wzgląd na kochanka; odtąd walczyć będzie dla sprawy, i wyłącznie dle sprawy nadstawi piersi mężnie na kule nieprzyjaciół i przelaną krwią okupi popełniony błąd i niepodległość swej ojczyzny.

Między trzecim a czwartym aktem wszystkie nadzieje Jakobinów zniweczone zostają, armia pretendenta pobita na głowę, a Dora pada w bitwie z bronią w ręku.

Lorda Fingalla, za którego głowę naznaczono nagrodę wynoszącą kilka tysięcy funtów szterlingów, ukrywają starannie wierni stronnicy w jednej z jego wiosek, zanim znajdzie sposobność opuszczenia niegościnnej wyspy. W nocy wśród ogólnej ciszy dają się słyszeć opodal strzały i ktoś dobija się do okna błagając o schronienie. Jest-to Karol Edward, pretendent do tronu szkockiego, ścigany ze wszystkich stron przez angielskie wojsko. Lord Fingal również jak otaczające go osoby dają dowody największego uszanowania dla nieszczęsnego monarchy, najpiękniejszy pokój przeznaczony mu zostaje na sypialnię, a zdradzony mąż nie wiedząc jeszcze o niczem, pilnuje bezpieczeństwa swojego gościa. W trakcie tego jeden z wiejskich chłopaków wręcza lordowi medalionik znaleziony, zawieszony na szyi jego małżonki. Pewny zobaczenia własnych rysów i myślą tą rozczulony, na nieszczęście poznaje twarz Karola Edwarda, a nadto list niezostawiający żadnej wątpliwości, że ukochana małżonka, którą z taką goryczą opłakiwał, zdradzała go, a pretendent dla którego sprawy poświęcił się, naraził życie i mienie, rzucił hańbę na ostatnie lata jego żywota.

W uniesieniu porywa siekierę i chce biedz po schodach dla wywarcia srogiej zemsty, ale w tej chwili przypomina sobie, że tym zdrajcą jest monarcha ścigany przez los, zniewolony szukać schronienia jak ostatni żebrak, któremu przysiągł wierność...

Siekiera wypada mu z rąk, wraca na dawne stanowisko placówki, w tej chwili wpada na scenę wojsko angielskie, dla przetrząśnięcia domu i znalezienia w nim ukrywającego się w tych stronach Karola-Edwarda.

Lord Fingall wymienia swe nazwisko, wspomina o przyrzeczonej nagrodzie, a żołnierze uradowani z tyle ważnego jeńca, zapominają o innym jeszcze ważniejszym.

W akcie piątym spostrzegamy zgłodniałego króla zabłąkanego i pozbawionego wszelkiej opieki. Wraz z lordem Fingallem opuścili go wszyscy stronnicy i lada chwila wpadnie w ręce nieprzyjaciela. Czuwają jednak nad nim dwa opiekuńcze anioły w osobie ślepego Angusa i jego wnuczki. Oni zebrali fundusz na drogę dla pretendenta, wynajęli okręt i nareszcie odszukali zbiega upadającego pod brzemieniem doznanych nieszczęść.

Karol Edward składa znów pocałunek na czole Maryi, żegnając w jej osobie całą Szkocyą i siada na okręt płynący w kierunku stałego lądu.

Biedna dziewica wsparta na ramieniu swego dziadka, podobna więcej do umarłej niż do żyjącej osoby, blada z zaciśniętemi ustami, z oczami pełnemi łez, śledzi wzrokiem odpływający statek, ale zwolna zginają się jej kolana, traci coraz bardziej siły, a gdy ostatni wierzchołek żagla znika po za horyzontem, bez życia pada na ziemię.

Taka jest treść dramatu p. Franciszka Coppée, a dosyć wymienić nazwisko autora, aby domyślić się piękności wiersza.

W Jakobinach pierwszy i drugi akt, to epopeja, trzeci i czwarty, dramat; ostatni nareszcie przemawiająca do duszy elegia.

W teatrze komedyi francuzkiej, przedstawioną została, napisana także prześlicznym wierszem komedya przez pana Teodora Banville pod tytułem Sokrates i Ksantypa.

Przedmiot sztuki zaczerpnięty jest z małżeńskiego pożycia Sokratesa, a imię Ksantypy znane jest ogólnie, jedynie tylko skutkiem właściwych jej ujemnych przymiotów.

Słynna ze swej złośliwości dokuczała bez litości biednemu Sokratesowi i w chwili jego rozmyślań o przedmiotach dotyczących najważniejszych zagadnień, nie szczędziła obelg, wypędzając uczniów za drzwi, jako narażających męża na bezpotrzebną stratę czasu. Taką być miała ta słynna złośnica i w taki też sposób przedstawił ją autor, wszyscy przed nią drżą zacząwszy od Sokratesa, bo ma w potrzebie i rękę silną i język niepohamowanej wymowy.

Do mieszkania Sokratesa przybywa niejaka Myrrhine słynna elegantka w Atenach, w zamiarze zrobienia gorzkich wymówek filozofowi, jako zatrzymującemu przy swym boku jej małżonka, który unika jej towarzystwa w celu słuchania naukowych wykładów. Ksantypa przewidując w tej kobiecie sprzymierzeńca, wpuszcza ją do pracowni Sokratesa, w nadziei zrobienia mu przykrości a sama z ukrycia śledzi starannie bieg rozmowy. Myrrhine widocznie ma w duszy poczucie dobra i piękna, a jedynie tylko skutkiem niedbałego wychowania i braku należytego kierunku, zwróciła wszystkie usiłowania do przyozdobienia wyłącznie swej powierzchowności. Sokrates z właściwą mu wymową, w pięknej rymowej formie, wskazuje jej szlachetniejszą drogę postępowania, aby myślała nietylko o przyozdobieniu ciała ale i o przyozdobieniu duszy, aby przez naukę rozwinęła właściwe jej umysłowi zdolności, a w takim razie zostanie prawdziwą towarzyszką swego małżonka, skoro razem z nim będzie myśleć, razem pracować, razem poszukiwać prawdy i z równą siłą odczuje radość z odkrycia nowej zdobyczy naukowej. Te i tym podobne myśli wpływają zbawiennie na umysł Myrrhiny, Sokrates będąc w swoim żywiole jest nieporównanym, coraz wznioślejsze myśli, coraz szlachetniejsze obrazy, poruszają do głębi duszy przybyłą kobietę, która nie mogąc powstrzymać objawu uwielbienia, rzuca się na szyję Sokratesa i obdarza go dwoma głośnemi pocałunkami. Ksantypa usłyszawszy je, wpada na scenę w największej złości, z postanowieniem oszpecenia paznokciami twarzy, i wydrapania oczów eleganckiej zalotnicy.

Sokrates ledwo zdołał uchronić biedną Myrrhinę od następstw strasznego spotkania ze swą małżonką.

Ksantypa nie mogąc przezwyciężyć oporu męża, nie zdoławszy ukarać jakby chciała mniemanej rywalki, dostaje spazmów, zapowiadając niezawodną śmierć swoją.

Elegantka ateńska zna się widocznie na różnych sztuczkach niewieścich, bo uspakaja Sokratesa, mówiąc: używałam niekiedy tego samego środka,

bądź spokojny, nie ma żadnego niebezpieczeństwa. Słowa te jednak nie wywierają żadnego wpływu, również jak uspakajające zdanie przybyłych uczniów; filozof wyraża żywo obawę utracenia kłótliwej małżonki.

Chwalony przez wszystkich, uwielbiany przez uczniów, czując niezaprzeczoną wyższość swoją nad całem współczesnem mu pokoleniem, Sokrates lęka się, aby nie padła rdza na jego duszę, nazywana pychą. Zwyczajny człowiek nie oparłby się pokusie, z pewnością bardzo silnej, kiedy nawet taki mędrzec obawia się o samego siebie. Na szczęście ma on przy swoim boku, nie śmiemy powiedzieć anioła stróża, ale kobietę, która właśnie z powodu swej złośliwości, broni go od głównego grzechu spełnianego zarówno przez pojedyńcze jak i zbiorowe jednostki. Utrata Ksantypy, mówi Sokrates z boleścią, byłaby dla mnie wielkiem nieszczęściem. Właściwa jej złośliwość była biczem utrzymującym mnie na drodze cnoty. Czyż bez jej wpływu posiadałbym cierpliwość podziwianą przez największych moich przeciwników?

Gdy osoby odwiedzające, zręcznem podchlebstwem poruszyły miłość mą własną, wywołując rozkoszne zadowolenie z samego siebie, wówczas Ksantypa przywracała mnie do porządku, dając do zrozumienia, że jestem takim samym człowiekiem jak każdy inny i nie dała jednej chwili pokoju, zniewalając do ciągłej baczności, do ciągłego czuwan'a nad samym sobą, co jedynie tylko uchroniło mnie od zarozumiałości i pychy.

Wdzięczność moja dla niej bez granic i jej strata byłaby dla mnie niepowetowaną.

Narzekania ateńskiego mędrca, wypowiedział Coquelin, niepospolity artysta, z uczuciem wielkiej prawdy; w jego głosie znać było, że szczerze żałuje nieznośnej towarzyszki swego życia.

Taki sposób przedstawienia uznał za błędny Franciszek Sarcey, używający jako sprawozdawca teatralny, wielkiej powagi w stolicy Francyi. Chciałby dostrzedz w głosie Sokratesa na scenie pewną ironią, właściwą temu filozofowi.

Trudno przecież zgodzić się na zdanie słynnego krytyka; gdyby Sokrates szydził z Ksantypy, w takim razie nie żałowałby jej, nie żałując zaś, przypisane jej zasługi byłyby bez znaczenia i Sokrates byłby tylko zwyczajnym mężem, ale nie mężem filozofem.

Wszakże ateńskiemu mędrcowi chodzi głównie o zyskanie wyższego rozwoju duchowego. Ksantypa dopomaga mu wielce w tem przedsięwzięciu, hamując porywy miłości własnej, jako więc prawdziwy filozof zapomina o doznanych przykrościach myśląc jedynie o zyskanem dobru moralnem.

Taka nie inna była myśl autora, zresztą dalszy ciąg sztuki usprawiedliwia to mniemanie.

Wyrażana przez męża boleść, oddziaływa zwolna na omdlałą niby Ksantypę, ale w rzeczywistości słyszącą i rozumiejącą dokładnie każdy wyraz wymówiony. Po raz pierwszy zniewoliły ją okoliczności, słuchać cierpliwie mówiącego męża. Tak jak przed chwilą Myrrhine, tak teraz ona sama choć na krótko ulega wpływowi tej wzniosłej wymowy, czuje pogardę dla samej siebie i podbiegłszy ku mężowi, daje mu kij mówiąc: bij mnie, zasłużyłam na srogą karę. Następuje bardzo zabawna scena, w której Sokrates zachowując zawsze krew zimną, odsuwa narzędzie mające być godłem przewagi mężowskiej. Ksantypa nie daje mu pokoju, chcąc być porządnie obitą, przynajmniej raz jeden w życiu.

Skoro nalegania jej są daremne, wraca zwolna do dawnego usposobienia, krew zaczyna w niej burzyć i zniecierpliwiona daje policzek małżonkowi. Sokrates z całym pokojem patrzy na swą połowicę, nie okazawszy gniewu ale politowanie, tym sposobem odnosi powtórne zwycięztwo i Ksantypa z głośnym płaczem rzuca się w jego objęcia.

Wszystko złe wychodzi od kobiet, mówi z zapałem, one są powodem kłamstwa, zdrady, szaleństwa, one są podobne do złotych puharów, pięknych i wspaniałych na pozór, ale jadem trucizny przejmujących cały organizm.

Na co Sokrates odpowiada z powagą:

— Czcijmy je jednak, bo mimo to są one dziełem Bożem, a kto wie czy nie najwznioślejszem.

Takim komplementem dla pań, kończy się sztuka, wysłuchana z wielkiem zadowoleniem przez licznie zebraną publiczność. Charaktery dwóch postaci historycznych znakomicie pojęte, układ i styl przynoszą zaszczyt autorowi. (*)

K. G.

Paryż, dnia 20 Grudnia 1885 r.

DUMKA.

„Tam za nami pobite Tatary,
A przed nami stepowe kurhany,
Leć mój koniu, przez stepy i jary,
Leć mój koniu! koniu mój kochany!

Gdzie Boh siny mknie ku Południowi,
Tam daleko, tam moja jedyna,
Tęsknem okiem patrzy ku Wschodowi,
Dawne, dobre czasy przypomina.

Lec mój koniu! leć mój koniu siwy!
Leć mój koniu, wierny, wiatronogi!
Gdzie ma luba, wśród złocistej niwy,
Smutnie patrzy na rozstajne drogi!"

Koń popędził szybkim wiatru lotem,
Ot i Bohu wstęga srebrno-sina,
Ot i sioło widać z kołowrotem,
A w tem siole kochana dziewczyna...

Na pagórku stara cerkiew stoi,
Wkoło cerkwi lipy i kasztany...
Młody kozak pędzi do dziewoi,
A z kozakiem wierny koń zdyszany...

Z starej cerkwi ludzie idą tłumnie,
Pannę młodą otoczyli wieńcem,
Panna młoda wkoło patrzy dumnie,
Białe lica pałają rumieńcem...

I nad Bohem stanął junak młody,
Dawne, dobre czasy przypomina,
I spogląda w ciemno-sine wody,
I siwego ostrogami spina.

Wspiął się siwy i zniknął w wód fali,
Zaszumiały sine nurty Bohu —
I wypłynął koń swobodny dalej,
I poleciał hulać po rozłogu...

* * *

Płynie Bohu fala srebrno-sina.
I nikt nie wie, gdzie jest junak młody,
I nic nie wie niewierna dziewczyna,
Bo nie zdradzą Bohu sine wody.

Nie powiedzą, kogo kryją w łonie,
Bo wiatr tylko mowę ich rozumie...
I spokojnie szumią Bohu tonie,
I spokojnie, smutnie wicher szumi.

Jowita.

(*) Komedya ta przetłomaczona przez p. S. Duchińską, stałą Tygodnika naszego korespondentkę, złożoną została Dyrekcyi teatrów warszawskich do przedstawienia na scenie i wkrótce będzie drukowaną w naszem piśmie.

Redakcya.

UMARŁA.

PRZEZ

Oktawiusza Feuillet.

PRZEKŁAD

Joanny Belejowskiej.

CZĘŚĆ PIERWSZA.

(Dalszy ciąg.)

Wieczorem 24 Września.

Poznałem nareszcie tajemnicę mego stryja.

Po śniadaniu, kazałem sobie podać konia, chcąc jechać do Varaville. Stryj towarzyszył mi, aż do kraty, otaczającej dziedziniec, życząc jak najlepszego powodzenia. Odchodząc rzekł mi:

— Słuchaj-no, mój chłopcze, nie potrzebujesz przecie wyznawać przed niemi, że nie wierzysz ani w Boga, ani w dyabła.

Odpowiedziałem lekkiem skinieniem głowy i podniesieniem ramion, mającem oznaczać: Co za niedorzeczność! i pojechałem.

Rzeczywiście panie były nieobecne, ale jakby na przekorę zastałem admirała w towarzystwie miejscowego proboszcza; grali w tryktrak.

— Jak się masz, mój młody przyjacielu, rad jestem że cię widzę, ale źleś trafił, panie pojechały do miasta.

— Wiedziałem o tem, panie admirale, ale właśnie z nim tylko chciałem się widzieć.

— Ah! — zawołał, wpatrując się we mnie, poczem znacząco spojrzał na proboszcza.

Widziałem, że odtąd grali byle jak, nie pilnując się zasad, aby tylko prędzej skończyć partyę.

— Jakoś, kochany sąsiedzie — rzekł do mnie admirał — widocznie nabierasz coraz większego zamiłowania do wsi. Doskonale!... ale wszak nie masz zamiaru, przynajmniej natychmiastowo, zerwać z Paryżem.. Nie radziłbym ci tego .. i powiedziałem to twemu stryjowi... Na twojem miejscu, zatrzymałbym sobie pomieszkanie w Paryżu... Gdy przychodzi nam zaprowadzać wielkie zmiany w naszem życiu i nawyknieniach, należy dokonywać te-

go stopniowo i powoli... Zresztą nie potrzebuję ci mówić, iż co do mnie pochwalam bezwarunkowo zamiłowanie, które najzupełniej podzielam... Ale ty jesteś dopiero neofitą i jako taki nie powinieneś za pośpiesznie wykonywać ślubów. Wszak prawda, księżę proboszczu?

W ustach kogobądź innego, ta wzmianka o mojem umiłowaniu wsi, wydałaby mi się prostym żartem w postaci twierdzenia sprzecznego z prawdą, ale wypowiedziana z przekonaniem przez poczciwego admirała, wprawiła mnie w osłupienie. Lecz zdumienie moje nie miało skończyć się na tem.

— Zapewnie, admirale — odpowiedziałem, sam nie wiedząc co mówię.

— Rzadko się to bardzo zdarza, aby wstręt do bezcelowego życia i poczucie potrzeby czystszych rozkoszy, objawiały się u tak młodego jak ty człowieka... Wielki to przynosi ci zaszczyt, kochany wicehrabio... ale stokroć większy jeszcze, mówię to z radością w obec proboszcza, twoje szczęśliwe i tak szczere nawrócenie, pomimo lat młodocianych, do gorącej wiary, zachwianej w tobie jak w wielu innych, namiętnościami młodości...

Nie mogłem powstrzymać lekkiego wykrzyku.

— Nie! nie! — zawołał przerywając mi admirał — nie broń się pochwałom, kochany sąsiedzie, i ja kiedyś byłem wielkim hulaką, a jakkolwiek powróciłem zarówno jak ty do zasad i przekonań, do uczuć religijnych, od których nigdy nie powinienem był odstępować, jednak nie nawróciłem się tak wcześnie jak ty... Skłoniły mnie dopiero pierwsze dolegliwości i gorycze podeszłego wieku, nie mogę więc nie uznać, że masz większą odemnie zasługę.

W tej też chwili skończyła się partya tryktraka; ksiądz wstał, pożegnał się i odszedł. Podniósłszy się, złożyłem mu ukłon. Jak tylko proboszcz odszedł, admirał skinął abym usiadł, a uśmiechnięta twarz jego zachęcała mnie widocznie do objawienia celu mego przybycia. Zamiast tego, z niewymownem jego zadziwieniem, wstałem i dość niezręcznie podając mu rękę, prosiłem, aby raczył pozdrowić odemnie panie i ukłoniwszy się wyszedłem.

Kazałem memu służącemu odprowadzić konia do La Savinierè, a sam poszedłem tam piechotą. Potrzebowałem zastanowić się i zebrać myśli, a szczególniej ochłonąwszy dopiero, zobaczyć się ze stryjem, lękając się, abym mu nie ubliżył.

Wnosząc z dziwacznych pochwał admirała, nie mogłem wątpić, że stryj, pragnąc doprowadzić do skutku zamierzony związek, nie wahał się narazić własną i moją prawość i sumienność, przedstawiając mnie rodzinie Courtheuse, w tak fałszywych barwach. Widocznie zaraz po mojem przybyciu, a może i wcześniej jeszcze, opisał mnie poczciwym tym ludziskom jako nawróconego don Juana, który postanowił wyrzec się szatana i jego uciech i porzuciwszy widownię swego gorszącego życia, zagrzebać się w ciszy wiejskiej. Ten tak *podobny* mój portret, przyozdobił gorącą wiarą i pobożnością, które burze i namiętności lat młodzieńczych mogły zachwiać i osłabić, ale wyszły zwycięzko z tej próby. Tym to sposobem chciał ukoić drażliwość i usunąć niechęć, jakie mogłaby zbudzić w ich umysłach moja opinia hulaki i wolno-myśliciela.

Naturalnie nie zawiadomił mnie o tem podejściu, gdyż wiedział doskonale, że się na to nie zgodzę. Łatwo pojąć, że mógł bardzo obiecywać sobie, iż podstęp jego nie wyda się przed zawarciem małżeństwa, gdyż z jednej strony Courtheuseowie byli za nadto delikatni, aby przedwcześnie badać mnie pod względem zasad i zamiarów na przyszłość, z drugiej znowu, za nadto dobrze byłem wychowany abym mógł drażnić ich przekonania, i czy to w obec nich, czy w obec kogobądź, występować w roli fanfarona bezbożności. Jednak mimo to wszystko, najlżejszy przypadek mógł zniweczyć zabiegi opłakanej dyplomacyi stryja, pojmowałem więc teraz nieustanną jego obawę i niepokój.

Wyrzucałem to stryjowi, ale delikatnie, wszakże jest bratem mego ojca! A potem, przykro to zawsze młodemu, wykazywać starcowi jego winę i patrzéć na jego zawstydzenie. Stryj tłomaczył się jak mógł, składając wszystko na gorącą jego chęć skojarzenia tego związku, a nawet probował przekonać mnie, iż mogłem korzystać z jego podejścia, ponieważ nie byłem w tem jego wspólnikiem... Nareszcie ofiarował się jechać do Varaville i przyznać się do winy, ale nie przyjąłem tej ofiary, obawiając się nie bez słuszności, że pewnie spowiedź ta nie byłaby zupełną i szczerą.

Ostatecznie postanowiłem napisać do admirała i oto list mój, który przed wysłaniem przedstawiłem stryjowi.

„Szanowny panie Admirale!

„Opuściłem pana tak nagle i niestosownie, iż mogłeś powątpiewać czy jestem przy zdrowych zmysłach: sam, przez chwilę, myślałem, że rozum tracę. Winienem panu wytłomaczenie i pośpieszam je przesłać, winienem szczere wyznanie i spełniam je sumiennie.

„Odgaduje pan zapewnie w jakim celu przybyłem do niego. Im lepiej poznawałem pannę de Courtcheuse, tem silniej byłem przekonany, iż w jej ręku spoczywa szczęście lub nieszczęście mego życia. To właśnie chciałem wyznać panu, z najuprzejmiejszą prośbą, abyś oznajmić raczył bratowej i siostrzenicy swojej, życzenie i uczucia moje.

„Lecz zwierzenie to zamarło na ustach moich, gdy słowa pana admirała objawiły mi dziwną pomyłkę, jaka, bez wiedzy mojej, zaszła między nami. Zrozumiałem z niewymownem zadziwieniem, że kochany stryj mój, przez przywiązanie do mnie i gorące pragnienie, tak zaszczytnego dla mnie związku, przedstawił mnie szanownemu panu w zbyt korzystnem świetle, nadając upodobania jakich nie mam i cnoty jakich nie posiadam. Gdyby w naszej było mocy posiadanie upragnionych zalet, nadałbym sobie wszelkie przymioty i cnoty, mogące uczynić mnie godnym panny de Courtcheuse. Ale, niestety nie jest to możliwem. Już, naprzykład wiara, bynajmniej nie zależy od naszej woli. Tak pod tym głównym względem, jak i w kwestyach podrzędnych, stryj mój pragnienia swoje wziął za rzeczywistość. Powinienem wyznać panu szczerze, iż pod względem religii i wierzeń, prąd wieku i nauki owiał mnie swem tchnieniem zarówno jak innych i śladu ich nawet nie pozostawił. Co zaś do mego zamiłowania wsi i zamiaru opuszczenia Paryża, te istnieją dotąd tylko w wyobraźni i przywiązaniu stryja.

„Z boleścią myślę o tem, panie admirale, że wyznania te zniweczą może najdroższe nadzieje moje, ale za nic w świecie nie chciałbym szczęścia swego zawdzięczać kłamstwu. Mogę mieć wielkie wady, ale obłuda nie zalicza się do nich.

„Czyliż potrzebuję dodawać, iż jeźli zmuszony będę się oddalić, zastosuję się do dnia jaki mi pan admirał oznaczy. Odjadę choćby jutro, jeźli taka jego wola. Oczekuję rozkazów pana z bolesnym niepokojem ale i z pokornem poddaniem się jego woli.

Bernard de Montauret de Vandricourt."

Konny posłaniec powiózł dziś wieczorem list ten do Varaville, powrócił bez odpowiedzi.

30 Września.

Umyślny posłaniec doręczył mi dziś rano odpowiedź admirała:

„Kochany wicehrabio!

„List twój wywarł na mnie nader bolesne wrażenie. Nie znając i nie chcąc przesądzać zamiarów bratowej, a tem mniej uczuć mojej synowej, lubiłem cię i szanowałem i może także łudziłem się marzeniem, pokrewnem rojeniom twego stryja. Nie potrzebuję zapewniać cię, kochany wicehrabio, że posiadasz zawsze moją życzliwość i szacunek, ale chcąc być równie jak ty szczerym, przyznać muszę, że co do marzenia to już pozostanie tylko wspomnieniem. Mam niezłomne przekonanie, że nie ma gorszych mezaliansów nad moralne; według mnie, przekonania religijne stanowią zasadniczą podstawę życia moralnego, tak więc głęboka sprzeczność zachodząca pod tym względem, między panem a moją synowicą, stanowi nieprzebytą między wami zaporę.

„Nie rozszerzając się nad tym przedmiotem, dodać jednak muszę, iż byłbym niewymownie zdziwiony, gdybym w tej okoliczności nie był tłomaczem, zarówno własnych jak i rodziny mojej uczuć i przekonań.

„Nie widzę przecież potrzeby, kochany wicehrabio, dlaczego miałbyś niezwłocznie uciekać jak winowajca lub odrzucony konkurent, skoro nie jesteś ani jednym, ani drugim, bo w rzeczywistości ani się oświadczyłeś ani ci nie odmówiono. Możemy przypuszczać, że jesteś protestantem lub starozakonnym, a jakkolwiek w takim razie niepodobna by nawet przypuszczać możliwości połączenia się naszych rodzin, nie byłoby to przecież przeszkodą do zachowania stosunków sąsiedzkich, które pragniemy utrzymywać, dopokąd podoba ci się pozostać w naszej okolicy.

„Przyjm, kochany wicehrabio, zapewnienie mego głębokiego poważania i szczere uściśnienie przyjacielskiej dłoni.

Admirał baron de Courtcheuse."

Jeźli dobrze zrozumiałem list admirała, zdaje się, iż w Varaville życzą sobie, aby nagły mój odjazd nie dał powodu do złośliwych plotek. Pragną aby stosunki nasze nie zdawały się zerwane, ale ustały jedynie skutkiem mego powrotu do Paryża. Niechże i tak będzie. Rozpowiem w sąsiedztwie, że wyjeżdżam za dwa tygodnie, a w ciągu tego czasu, jak dotąd bywać będę w Varuville, w ten sposób przycichną zapewne pogłoski o zamierzonem małżeństwie.

A może także tą obojętnością co do dłuższego mego pobytu, pragną dowieść mi, że nie obawiają się mojej obecności, niezdolnej zakłócić spokoju panny de Courtcheuse, której serca nie zdołałem zdobyć. Zobaczymy.

7 Października.

Wracam z Varaville. Wstąpiłem tam bez ceremonii, wracając z polowania. Admirał był uprzejmy jak zwykle, ale panie, mniej umiejące panować nad sobą, zdradzały pewien przymus w całem swojem obejściu. Pani de Courtcheuse była zimna i sztywna; siostra, jej panna Varaville zasępiona i kwaśna; panna Alieta smutna i milcząca. Ciotka jej, ze śmieszną natarczywością, starała się

stawać ciągle między mną a siostrzenicą, jakby broniąc jej od zetknięcia się z tak nieczystą istotą. Brat marynarz powrócił do Szerburga.

Odjechałem zły i oburzony. Na złość ożenię się z nią!... Porwę ją, wykradnę jeźli się nie da inaczej, ale, do pioruna! ożenię się!... I ona będzie szczęśliwa i dowiodę im, że człowiek w nic nie wierzący, może być uczciwym, mieć serce i być tak dobrym mężem jak każdy inny!

Alieta podoba mi się bardzo. Mogę nawet powiedzieć, że kocham się w niej, o ile podobne uczucie może mieć przystęp do mego serca. Zachwycają mnie jej jasne, popielato-blond włosy, wyglądające jak delikatna przędza, wysnuta ręką wieszczki... Lecz nawet nie kochając, ożeniłbym się z Alietą, dla przyjemności dokuczenia jej matce i ciotce. Matka, pompatycznie poważna, podobna jest do tej nieznośnej pani de Maintenon, a ciotka do niedołęgi. Nigdy jeszcze w mózgownicy jakiejś starej panny, nie mieściły się równie ograniczone pojęcia i osch1ejsza dewocya!

Ale nic a nic nie wiem jakich użyć sposobów, aby zadowolnić zarazem miłość i uienawiść moją. Jednak węch mój, nader delikatny w podobnych okolicznościach, obiecuje mi powodzenie, zapewniając, że mam pomoc w twierdzy, w której kryje się zdrajca. Tym zdrajcą jest Alieta. Jej smutek daje do myślenia. Widocznie ma słabość do mnie, pomimo tego co nas dzieli... Wyznaję, że nie dziwi mnie to wcale. Jest pobożna, zacna, doskonała, ale jest kobietą i kto wie czy to właśnie, że powiedziano jej o mnie wiele złego, aby ją odstręczyć, nie wywołało przeciwnego skutku. Kobiety lubią hulaków i mają słuszność, ponieważ są zwykle zabawniejsi i przyjemniejsi od innych.

Ale najpierw trzebaby mi koniecznie rozmówić się z samą Alietą, do dopięcia tego celu zwrócić się powinny obecnie znakomite moje zdolności. Najpierw zamierzałem napisać do niej, ale zastanowiwszy się wzruszyłem ramionami na ten nietrafny pomysł. Mężczyzna, który w podobnie trudnych okolicznościach pisze zamiast działać, jest nic więcej jak tylko literatem.

12 Października.

Dwa razy byłem w Varaville; pierwszy raz przyjęto mnie zimno, za drugą bytnością ze zgrozą. Pani de Courtcheuse i stara jej siostra, powitały mnie jakby Antychrysta, gdyby odważył się pojawić u nich. Panna Alieta wcale się nie pokazała; podejrzywam, że skazano ją na areszt domowy w jej pokoju, który trwać będzie do czasu mego wyjazdu.

Doskonale!

Oznajmiam więc bez wahania, że od tej chwili uważam się za stronę wojującą względem rodziny Courtcheuseów i korzystać będę z wszelkich praw, przysługujących podczas wojny. Pobudki kierujące mną nie są naganne, nie zamierzam zbałamucić ale zaślubić Alietę. Jeźli pod względem materyalnym, małżeństwo to zapewnia mi pewne korzyści, nie przewyższają one tych, jakie nazwisko moje, stosunki i położenie, pozwalają mi obiecywać sobie. Występuję więc do walki w sprawie mojej miłości, sprawiedliwości i zdrowego rozsądku, przeciw fanatyzmowi trzech starych bab (bo i admirał zasługuje na tę nazwę). Zdaje mi się, że do podobnej walki wolno posługiwać się wszelką bronią, wszelkiemi niespodziankami i podejściami wojującej miłości, nie wyłączając wdarcia się do twierdzy przez mur.

16 Października.

Kilka dni poświęciłem badaniu nawyknień panny Aliety. Pod pozorem polowania, kręciłem się nieustannie po okolicy i lasku, otaczającym pałac z wieżyczkami, w którym nieszczęśliwa ta dziewczyna trzymana jest jak w więzieniu. Jeźli wychodzi na wieś czy do kościoła, to zawsze w towarzystwie matki lub ciotki. Gdy wyjeżdża konno, stryj jedzie obok niej, a służący za nią. Spotkanie jej w podobnem otoczeniu, nie doprowadziłoby do niczego. Poprzestaję więc na uprzejmym ukłonie, ale ileż to razy w lasku i w okolicy, daję ognia z dubeltówki, strzelając do nieistniejącej zwierzyny! Tym sposobem, wytrwałością moją i bliską obecnością, zakłócam spokój panny de Courtcheuse, jest-to wiele ale jeszcze nie dość... Postaram się uczynić coś więcej.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

RYCERZ MORA.

(Dalszy ciąg.)

Na ten wykrzyk nie zważał wcale imci pan Rodrigus Boruta, jeno mówił dalej:

— Niech waść się nie dziwi memu imieniowi, bo gadają, że w Łęczyckiem siedzi istotnie dyabeł Boruta. Ale ja cale nie idę z dyabelskiej rodziny, jeno z dobrego szlacheckiego gniazda z ziemi Łukowskiej. Tam od wielu wieków są posesyonaci Borutowie, jako się rzekło, herbu Nowiny i ja jeden jeno zawędrowałem w Łęczyckie. I to już taka moja psia dola, że mieszkam tam, kędy panuje dyabeł tegoż nazwiska, chociaż jam go jak żyję nie widział. A zawędrowałem, bo trzeba to waszmość panu powiedzieć, za ładnemi oczkami, największem nieszczęściem każdego szlachcica polskiego. Bo te białogłowskie oczka, to prawdziwe dyabelstwo...

— A, nie gadaj tego, mój Boruta! — ozwie się Bartek — a Jagusia! żebyś ty wiedział, jakie ona ma ślipki!...

Boruta nie odwrócił się nawet do Bartka, jeno prawił dalej:

— Otóż to dyabelstwo dokuczyło mi tak, żem uciekł z domu i od trzech lat włóczę się z hajdukami po świecie, a włócząc się, zaglądam tu do Żwana, ile że tu mam niedaleko wiosczynę, co się zwie Jajki. Wiosczynę tę, mosanie, spalili mi onegdaj Szwedzi z kretesem, ludzi mi pokrwawili i cztery najładniejsze dziewki porwali.

Mówił to wszystko poważnie swym grubym, ryczącym głosem, nie zważając na śmiejącego się Bartka. Pan Samuel nakoniec rzekł:

— Czemuż mam przypisać zaszczyt odwidzenia przez waszmość pana Smolarzów?

— Ano dojadły mi już te Szwedy. Siadłem na koń i przyjechałem tu w głębie puszcz, by na to tałałajstwo napadać i mordować i chciałem też Żwana do tego namówić, ile że on ma wielki animusz rycerski, mosanie i jest ciągle w desperacyi...

— To tak jak ja! — wtrącił płaczliwym głosem Bartek.

Boruta zaś mówił dalej:

— I przyjechawszy tutaj dowiaduję się, że i Żwan gotuje się na Szweda i chłopstwo zbiera. W to mi graj, mosanie.

Tedy już pan Samuel przyjął owego dziwnego szlachcica, co się zwał po dyabelsku, Boruta, z otwartemi rękami i opowiadać mu począł szeroko, jakie oni ze Żwanem mają zamiary, jakie siły i gdzie chcą najprzód uderzyć. Pokazał mu uniwersał królewski, narzekał tylko, że uzbrojenia nie ma.

— Ha! cóż robić! — odrzekł na to Boruta, popijając wino — zdobędziemy je na Szwedach.

Nakoniec zwracając się do Bartka zapytał:

— Bartek, to cię matusia puścili na wojnę?

— Ale gdzież tam, ja sam uciekłem.

— A czemużeś nie zabrał ze sobą hajduków? U was we dworze pięciu hajduków, chłopów dobrych do szabli i na dobrych koniach...

— Ba! zabrać hajduków. Oni mnie chcieli zatrzymać, alem pięścią bił po pyskach i oto jestem. Idźże ich zabierz u matusi, kiedyś taki zuch. Chocieś ty dyabeł, to zawżdy bizuny byś wziął...

— A wiesz ty co? — ozwie się na to Boruta — ja do Wąsosza pojadę, hajduków wezmę i twej matusi się nie ulęknę... Pojadę i hajduków zabiorę. Pięć szabel w tych ciężkich opałach to coś warte.

— Ej, mój Boruta, lepiej ty nie jedź — gadał Bartek — jak Boga kocham, nie jedź. Matusia cię zerznie jak kota, że potem na kulbace przez tydzień nie usiedzisz. A tobie co potem?

Ale Boruta nie zważał na gadanie Bartka, jeno wziąwszy pana Samuela pod rękę, szedł z nim ku oknu i coś długo szeptał — a potem ruszył ku drzwiom i wołał:

— Bartek, jadę do Wąsosza? co mam matusi powiedzieć. Ale! ale! prawda, a Jagusia?...

Na to przypomnienie drogiego sobie imienia, Bartek się skrzywił i zawodząc żałośnie, prawił przez łzy:

— Nie jedź ty Boruta, chyba że cię dyabelska twoja skóra świerzbi. Tam w Wąsoszu, ten hultaj Marek, hajduk z czarnemi wąsami, ma strasznie ciężką rękę. Jagusi dali dwadzieścia rózeg w sypialni matusi na pokładankę... Hu! hu! hu! — płakał głośno — moja Jagusia, moja biedna Jagusia!

— Bądź zdrów Bartek! — śmiał się Boruta — hajduków niedługo obaczysz w Smolarzach.

I wyszedł, a za nim pan Samuel. Bartek popłakał jeszcze trochę, pochodził po komnacie, potem napił się wina jedną i drugą szklanicę, usiadł wygodnie w krześle z poręczami i wzdychając a szlochając od czasu do czasu głośno, zasnął snem kamiennym.

VI.

Nad samym wieczorem, Żwan przyprowadził z Parzymiechów, trzydziestu chłopów, uzbrojonych w kosy, kłonice, widły, w co kto miał, oraz sześciu jeźdźców, parę szlachty, reszta leśniczowie, hajduki i t. p. Ogółem miano dotąd w Smolarzach całego tego wojska, z którem wypowiadano wojnę szwedzkiej potędze, czterdziestu dwóch pieszych chłopów i około dwudziestu jeźdźców, gdyż Żwan na wszystkie, jakie miał konie, powsadzał najsprawniejszych chłopaków. Razem zatem było sześćdziesięciu kilku ludzi, wliczając już w to samego Żwana, pana Samuela i Bartka Koszarskiego. Boruta ze swej wyprawy na Wąsosz, jeszcze nie powrócił. Tymczasem, czekając na niego, robiono

ostatnie przygotowania do nocnego napadu na Krzepice. Zabito wołu i pieczono go dla chłopów a w komnatach lano kule, ostrzono szable, topory, kosy. Ruch był ogromny, niezwykły w tych cichych Smolarzach. Powietrze było mroźne i ciche, tylko wietrzyk od puszcz przynosił ich senny rozgowor.

Nakoniec ciemno się już zrobiło, kiedy się zjawił buńczucznie i głośno Rodrigus Boruta, na czele dziesięciu zbrojnych jeźdźców. Miał przywieść jeno pięciu hajduków z Wąsosza a przywiódł ich sześciu, tylko, że ten szósty całkiem inaczej wyglądał. Podczas kiedy tamci czterej wąsacze byli i chłopy jak dęby, ubrani w barwę, w kołpaki czerwone i takież rajtuzy, piąty miał na głowie baranią czapeczkę i cały otulony był w opończę. Bądź co bądź, siły Żwana zwiększyły się o jedenaście, razem już z Borutą, szabel, co nie było do pogardzenia.

Na powitanie tych posiłków wyszli wszyscy: Żwan, pan Samuel, Bartek i kilku szlachty na ganek.

— Milion set! — wołał z konia Boruta — ważne przynoszę nowiny! Bartek, chodźno tu do mnie, coś ci powiem.

Bartek złaził leniwie ze schodów i pytał płaczliwym głosem:

— Cóż, matusia nie obiła cię, dyable Boruto? a Jaguś co czyni?

— Chodźno, chodź, to ci powiem.

I kiedy Bartek stanął przy Borucie, ten nachylił się na koniu i szeptał mu coś do ucha, poczem Bartek skoczył do otulonego w opończę jeźdźca i zsadził z konia i rzucił mu się w ramiona i ściskał go i całował. Szczęściem, że zebrani na ganku tego nie widzieli, bo Boruta, nakazawszy swym hajdukom zejść z koni, szedł na ganek i mówił:

— Proszę waszmość panów do komnaty, mam ważne nowiny.

Tedy wszyscy za nim poszli, oprócz Bartka, który dziwnie jakoś tańcował koło owego jeźdźca w opończy i co jeszcze dziwniejsza, że ciągle się z nim całował, aż się chłopy pilnujące pieczeni śmiały.

Tymczasem w komnacie, Boruta, nie zdejmując wcale ze siebie swej delii karmazynowej, prawił:

— Mości panowie na koń! Dowiedziałem się po drodze, że ów Horn wyruszył w pięćdziesiąt koni z Krzepic ku Millerowi, który, jak wiadomo idzie na Częstochowę. Miller teraz jest już daleko, bo w południe był w Rembielicach i nocować miał w Kłobucku. Otóż i Horn idzie do Kłobucka, gdzie go pono wezwał Miller na naradę. Więc mości panowie, nie tracąc czasu, ruszajmy na całą noc, nie na Krzepice, bo tych z tem tałałajstwem, jakie tu mosanie mamy i bez harmat nie weźmiemy, ale na przełaj Hornowi. Przycupnijmy cichaczem w lasach Wilkowickich i czy go złapiemy idącego do Kłobucka, czy też powracającego już ztamtąd, zawżdy w lesie możemy mu skórę statarować i takie z jego rajtarów jatki zrobić, że żywa noga nie wyjdzie i jak owi starożytni Rzymianie mówili, nie będzie posła, coby o klęsce doniósł. Oto moja rada.

Kiedy tak gada Boruta a wszyscy go słuchają, roztworzyły się drzwi i ukazał się w nich Bartek Koszarski, wiodąc za rękę owego hajduka w opończy, który z Wąsosza przybył. Wszyscy spojrzeli tam, ile że w komnacie było widno, bo na kominie palił się suty ogień, a na stole paliły się jarzące woskowe świece. Hajduk ów cale nie patrzał na hajduka ale raazej na panicza jakiegoś. Opończę miał rozwartą i siwą, barankową czapkę trzymał w ręce. Ubrany był w krótki szaraczkowy kontusik z szabelką przy boku, w karmazynowe szarawary i czerwone, nieco wytarte buty. Ale za to, jeżeli strój go nie zalecał, a nawet zdawał się przemawiać za jego ubóstwem, to twarzyczka czerwona jak wiśnia, mówiła, że to chłopię było pieszczone w domu. Była to więc twarzyczka młoda, bezwąsa, delikatna i biała jak u panienki, a oczy niebieskie, ciemnemi rzęsami pokryte, z pewną lękliwością zdawały się poglądać po zebranych. Włosy duże, złotego koloru, w pukle się zwijające, zdradzały raczej jakieś cudzoziemskie niż polskie nawyknienia.

Bartek owego młokosa, zarumienionego jak wiśnia, wprowadził za rękę i zaprowadziwszy na środek izby, rzekł:

— Mości panowie, oto jest Litawor herbu Odrowąż, szlachcic z ziemi... ziemi... mości panowie, mazurskiej, tak, mazurskiej, a mój druh serdeczny...

I kłaniał się wszystkim a za nim ów zarumieniony jego druh.

— Ki dyabeł? Litawor herbu Odrowąż! — mruknął pan Żaba, jeden ze szlachty znajdującej się w komnacie — jam także Odrowąż, a o żadnych stryjcach Litaworach nie słyszałem...

— Mój Bartku — ozwie się Żwan — bardzo nam miło powitać w Smolarzach i w tak wielkim momencie jak ten jest, imci pana Litawora. Ale nie wiedzałem, że ty masz takiego druha.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

OSTATNIA WYPRAWA AMERYKAŃSKA DO PÓŁNOCNEGO BIEGUNA.

Wedle danych, zaczerpniętych z dzieła

W. de Fonville,

ułożył

B. Z. B.

(Dalszy ciąg.)

Wejście do obozu nie było łatwe z powodu szczelnie przystającego do ziemi żaglowego płótna, posługującego do urządzenia namiotu. Kapitan jednak nie wahając się, cięciem pałasza zrobił sobie wejście do wnętrza, do czego zachęcił go osłabiony głos jednego z rozbitków. Po galonach znajdujących się na kołnierzu płaszcza, przybyły poznał majora Greely i pomimowoli wydał okrzyk radosny, mogąc uratować od śmierci tyle zasłużonego dowódzcę wyprawy. W trakcie tego przybyli inni żeglarze z koniecznemi przyborami, w celu okrycia i przeniesienia nieszczęsnych rozbitków. Przede wszystkiem jednak wypadało im dać jakikolwiek posiłek, do czego użyto zimnego soku wyciśniętego z surowego mięsa.

Nie tak to łatwo umrzeć z głodu jak się zdaje niejednemu. Mały ten posiłek, bo na większy przezorność nie pozwalała, oddziałał w zbawienny sposób na rozbitków, ale jednocześnie wzmocnione żołądki uczuły głód większy niż kiedykolwiek. Domagali się więc coraz natarczywiej posiłku, którego jednak niepodobna im dać było w żądanej ilości, a biedacy osłabieni fizycznie i moralnie, nie mogąc tego zrozumiéć, oskarżali niosących im ratunek o brak serca i niczem nieusprawiedliwione skąpstwo. Niemniejszy kłopot mieli z Ellisonem, chociaż z innego względu. Na widok obcych ludzi zbliżających się do niego, objawił największy przestrach; nieznajomych wziął za ludożerców i mimo osłabienia krzyczał przeraźliwie.

— Zostawcie mnie w pokoju, zaklinam was na wszystko, nie dotykajcie, zaczekajcie aż skonam, zrobicie potem ze mną co zechcecie.

Zaiste, położenie było przerażające dla ludzi nieprzygotowanych na podobne wypadki. Nie było innego środka jak tylko przemocą wkładać na nosze ludzi chorych na ciele i umyśle i przywiązywać do posłania, aby zmusić do spokojnego leżenia. Nieszczęsny Ellison, skutkiem odmrożenia różnych części ciała i wynikłych ztąd ran, doznawał cierpień przechodzących wszelkie pojęcie.

Prócz szalupy dowodzonej przez kapitana Ash'a, przybyły z pomocą i inne małe statki. Przesłane sygnały za pośrednictwem strzałów, zrozumiano na pokładach okrętów Ours i Téthys i te ze zdwojoną siłą pary posuwały się w oznaczonym kierunku. Zajmujący się więc ratunkiem mieli wszystko pod ręką co potrzebne było dla rozbitków, a przede wszystkiem podbite futrami kołdry, przeznaczone do ich okrycia. Przy wielkiej jednak egzaltacyi umysłów, stały się one prawie nieużyteczne; pod wpływem nowych widziadeł wystawiali oni sobie, że nie są w rękach przyjaciół ale prześladowców, mających względem nich najgorsze zamiary. Staczali prawdziwą bitwę z majtkami, chcąc ratować się ucieczką; nareszcie skutkiem osłabienia popadli w pewien rodzaj letargu, wzbudzający w ratujących obawę, czy wypadkiem dostrzeżona nieruchomość nie była początkiem konania. Na szczęście, oddychali wszyscy regularnie, nie było nigdzie słychać chrapania śmierci, dobroczynny sen był następstwem lekkiego posiłku.

Po starannem okryciu przewożonych rozbitków, wszyscy bez wyjątku zajęli się udzielaniem pomocy sternikom, gdyż w powietrzu zaszła nagła zmiana. Wiatr bowiem zwrócił się ku południowi i po przejmującem zimnie nastąpiło względne ciepło, ale jednocześnie gęste, czarne i nader zbliżone do ziemi chmury, pokryły sklepienie niebieskie ciemnością nader niebezpieczną dla małych statków. Widocznie groziła burza, fale morskie wznosiły się jedna nad drugą, jakby staczały śmiertelną walkę, gwałtowne uderzanie lodów ogłuszało prawie płynących i trudno było zrozumiéć rozkazy wydawane przez sternika. Lada chwila drobne statki mogły uledz rozbiciu lub zatopieniu, trzeba było zatem mocno trzymać się sznurów, aby nie wpaść do otchłani morskiej i chronić się od wody przepływającej po nad pokładem. Niezadługo działanie parowej maszyny z powodu lodów było niepodobnem. Wszyscy rzucili się do wioseł, tak dla posuwania się ku okrętom, jako też dla odpychania niebezpiecznej kry. Opatrzność pobłogosławiła mężnym i wytrwałym usiłowaniom, po dwóch godzinach mozolnej pracy dobili nareszcie do okrętów i za pośrednictwem wind przenieśli rozbitków na wygodniejsze i znacznie bezpieczniejsze miejsce. Dopiero pod wpływem dobroczynnego ciepła, major Greely i jego podkomendni ocknęli się z dotychczasowego osłupienia. Dla stopniowego wzmacniania sił, rozdano między nich pożywienie składające się

z ciepłej zupy z sucharami i wina Bordeaux, zmieszanego ze spirytusem, napój nazywany przez Amerykanów Claret. Umysły chorych, bo tak ich nazwać można, zostały nanowo podniecone, ale z mniejszą siłą niż poprzednio; rozsądek zaczął brać górę, nawet Ellison był spokojniejszy.

— Przyjaciele moi, rzekł komandor z pewnem rozrzewnieniem w głosie, niezadługo podniesiemy kotwicę wracając do Ameryki, gdzie przyjęci będziecie z należnemi wam honorami. Wierzajcie mi, ojczyzna potrafi być wdzięczną za okazane przez was dowody poświęcenia dla jej sławy i dobra nauki.

Major Greely zanadto był osłabiony, aby zabrać głos. Panującą ciszę przerwał tylko szmer zadowolenia, wywołanego tyle zaszczytnem uznaniem oddanych usług.

— Nietylko jednak żywym, mówił dalej komandor, ale i umarłym rząd amerykański odda należną cześć. W tym celu otrzymałem rozkaz zabrania ciał nieboszczyków, które kosztem narodowym pochowane będą na ojczystej ziemi.

Komandor patrzył z zadziwieniem na niedobitków naukowej kolonii; zamiast objawów radości dostrzegł widoczne pomieszanie, a nawet dały się słyszeć głosy:

— Nie! nie!

— Zostawić ich tam gdzie spoczywają.

— Nie zabierajcie ciał do Ameryki.

Ze słowami temi połączone były błagalne gesta, jakby im zagrażało największe nieszczęście.

Komandor zwrócił się do majora, ale ten siedział smutny i ponury, ze spuszczonemi oczami, nie śmiejąc objaśnić dręczącej wszystkich tajemnicy.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Wystawa konkursowa rzeźb i obrazów.

Wchodząc do sali, gdzie zaledwie dwadzieścia płócien i kilka rzeźb wystawiono, uderza oczy nasze wielkie, całą niemal ścianę w głębi zajmujące malowidło p. Kotarbińskiego Miłosza *Pod strażą aniołów*, przy którem znajdujemy kartkę z napisem: *nagrodzone*.

Na pierwszy rzut oka, dla niewtajemniczonych w tego rodzaju pomysły i dla mniej obeznanych z prawidłami sztuki, obraz przedstawia się pociągająco, olśniewa nadprzyrodzonością, porywa zmysły i unosi je po za światy tak, że człowiek radby go widzieć w kaplicy grobowej w nowym np. dolnym kościele na Grzybowie lub w kryptach na Wawelu. Dodać tylko napis: św. Bartłomiej lub inny i mamy ładny okaz, do koła którego, jeżeli przed czasem nie ulegnie zniszczeniu, przez wieki gromadzić się będą wierni.

Tło obrazu stanowią nagie, czarne skały i raczej podejrzywane, niż wyraźnie widziane morze, po którem mgła, zapewne wieczorna i smugi dymu, umiejętnie rozprowadzone, podnoszą posępność i grozę nadbrzeżnej samotni.

Na przodzie, na pierwszym planie, trochę na lewo, leży trup, zapewne męczennika, obnażony do połowy; nad głową umarłego na skale, płonie lampka, druga u stóp, przed aniołem klęczącym z rozpostartemi, jak orzeł Beskidu w locie, skrzydłami. Inny anioł w głębi, siedzi także z lampką i rozwartemi skrzydłami, obaj patrzą na nieboszczyka martwo, nieruchomo, niemal uparcie, tak nawet, że sądzić-by można, iż pilnują, aby się nieobudził czasem.

Akcesorya dokoła, to znów te same skały, ten dziki krajobraz pełen mroku, niepewny w kształtach, wyłaniający się z pod oka widza. Może to lepsza strona obrazu i niejeden artysta na niej i na umarłym poprzestałby z pewnością.

Idea anielskiej straży, czyli posłanników nieba, przybyłych na nasz padół umyślnie z lampkami dla strzeżenia ciała ofiary prześladowań, musi koniecznie wyrodzić drugą, ideę anielskiego piękna mytycznych postaci, którego jednak w dwóch osóbkach ze skrzydłami, nikt chyba nie dopatrzy. Twarze nieziemskich istot nader pospolite i gdyby nie ogromne skrzydła, wziąćby je można za figurki dekoracyjne, wybryk fantazyi malarza, za nic więcej. Jeżeli kto pragnie odtworzyć istoty niewidzialne, tak jak je ogół pojmuje, t. j. odziane w realne szaty człowieczeństwa, to, dla wywołania efektu, musi zastosować się ściśle do pojęć jakie ogół od wieków wyrobił sobie o nich. Skrzydła służą aniołom do lotu; musi jednak być rzeczą i niepożyteczną i męczącą utrzymywać je rozwinięte w stanie spoczynku. Ciągłe naprężenie mięśni ich rozpostarciem wywołane, musiałyby odczuć ramiona, wznieść się ku górze, odczuć i muskuły twarzy koniecznie. Żal mi też szczerze biedaków, że są na taką mękę skazani!

Jest to jedna z kapitalnych wad obrazu. Drugą, także chroniącą się przed okiem tłumu, wywołuje skromne pytanie; zkąd światło obraz oświetla? Chyba nie z trzech lampek, dymiących porządnie! A więc zkąd, pytamy? Pierś też nieboszczyka jest wydętą nadmiernie, głowa zanadto naprzód zgięta, a choć nie pozbawiona pewnego uroku, nie czyni takiego wrażenia, na jakie widz, zważywszy obecność aniołów, liczyć ma niezaprzeczalne prawo.

Dlaczego obraz ten został nagrodzony, trudno byłoby powiedzieć na razie, wstrzymujemy się też od sądu w tej sprawie.

Drugi z kolei, na lewo, większy, malował olejno p. Ciągliński Jan i dał mu napis *Chrystus u sadzawki Syloe*.

Prześliczne pole, na którem małe arcydzieło utworzyć można było, tymczasem radzi nie radzi nad obrazem, w którym nic nieuderza, nie nęci, nic niekrępuje, nad obrazem bez żadnej wartości artystycznej, przechodzimy do porządku dziennego, właściwie do niewielkiej rozmiarami pracy panny Dulembianki *Sama jedna*.

Przedstawia ona kobietę w czarnym stroju z rękami złożonemi na kolanach, z oczami wzniesionemi ku górze. Trudno zaiste z większym artyzmem pochwycić przedmiot niewdzięczny, uprzytomnić go sobie i na twarzy, w mrocznem tle, przedstawić to wszystko, co pendzel panny D. wyraził tak mistrzowsko.

Na licu nieszczęśliwej czytamy całe okropne dzieje rozbitego serca, doznanych zawodów, zniesionych ciosów i strat doprowadzających nieraz do obłędu. Ta *Sama jedna* to rodzaj Nioby nowożytnej, na której pięknej ongi, dziś znękanej twarzy, odbijają się jak w zwierciadle przebyte krwawe drogi żywota, wytrzymane męczarnie. Ona miała wszystko: może rodzinę, chatę, kochających ją i chleb i szacunek ludzi. Powoli wszystko z rąk jej się usuwało; strzęp po strzępie, z nieubłaganym fatalizmem, bezpowrotnie, aż nic nie pozostało, nic, prócz bezmiernej boleści. Wtedy, męczenica wzniesła oczy ku górze, może mimowoli, może z cieniem goryczy i niechęci... Tę chwilę wybrała artystka i pędzel niewieścią kierowany rączką, wytworzył rzecz arcypiękną. Ta twarz kobieca, to cała księga w której rozpacz bez granic ryła swoje dzieje. Światło i cienie, które łącząc się, spływając łagodnie, dodają jeszcze siły tej wymownie milczącej katuszy, widzieliśmy tylko na obrazach mistrzów w galeryach Drezna, Mnichowa, Paryża i Windsoru, szczęśliwi, żeśmy znaleźli coś podobnego w sali, w której zaledwie dwadzieścia, względnie miernych płócien wystawiono.

Sama jedna niezostała nagrodzoną, niemniej przeto praca panny D. jest, bogdaj czy nie najlepszą z nadesłanych i niewątpimy, że na drugim planie mistrzowskiego obrazka, w głębi, rzucona wzarysach jaka postać nadprzyrodzona, jakiś cień w kształcie niepewnej smugi... Eh, panna D. tego niepotrzebuje; prawdziwy talent nie polega na wywoływaniu sztucznych efektów, wystarcza mu życiowa prawda zupełnie.

Czwartym z kolei obrazkiem jest *Dla chleba* Wł. Wolskiego. Za kulisami drewnianej cyrkowej budy, błazen w jaskrawe łachy odziany, dźwiga oburącz maleńką bajaderkę z rozbitą czaszką; widocznie upadła z trapezu, jak zatytułował artysta „dla chleba”. Do koła stoją o idyotycznie głupiem, rozpustnem spojrzeniu tancerki, w głębi kilku panów z publiczności. Zabiła się biedota, pochowają ją i kwita. Dziecko skazane na pastwę losu, może kradzione, a może to i jedyne pajaca co je na rękach unosi, gdyż coś, nakształt boleści widać w twarzy wykolejonego. Obraz ma zarysy szkicu, tło blade nad wyraz, malowany niestarannie, postacie krzywe, nieestetycznie ugrupowane, perspektywa żadna, zato pajac i dziecko nakreślone bardzo dobrze. Widać, że artysta, w szkicu swym wszystko poświęca dla głównej myśli, zapala się pod jej wpływem, ją tylko widzi, jej tylko hołduje.

(Dokończenie nastąpi.)

WIADOMOŚCI Z KRAJU.

*** **Cicha praca.** Czytelniczki nasze, może nigdy nie słyszały o żłobku przy ulicy Złotej, w którym dzieci biednych rodziców spędzających dzień cały na robocie w mieście, znajdują opiekę i przytułek. Biedne maleństwa od lat 2 do 5 otrzymują tam ubranie, śniadanie, obiad i podwieczorek, oraz naukę, o ile takowa w tym wieku jest dla nich dostępną. Żłobek założony w 1876 r. przez osobę zacną, szlachetną, prosperuje słabo, gdyż ma niewielkie fundusze. O ile jednak cicha praca dozorczyni małych biedaków, jest petrzebną i użyteczną, świadczą tysiące wypadków powstałych z niedozoru, podczas nieobecności ojca i matki.

W zaprzeszłym roku zapisano w przytułku 28 dzieci, a z tych uczęszczało stale tylko 14, jednakowoż na rok 1885 pozostało remanentu zaledwie 121 rs. widocznem jest przeto, że pomimo ofiar od osób prywatnych, zakład bardzo małemi rozporządza środkami.

Obecnie, gdy „towarzystwo nad ubogiemi matkami” posiada również podobny żłobek, dzieci mają i tam bezpieczną oazę, chroniącą je od wszelkiego niebezpieczeństwa, na jakie w domu były narażone, ale czyż to wystarcza.

Biednych dzieci w Warszawie znajduje się mnóstwo, oprócz niebezpieczeństwa utraty życia, grozi im niejedno wypływające ze złego przykładu, niestosownego towarzystwa i t. p., stokroć gorsze od śmierci, to też obowiązkiem ludzi możnych, jest popieranie wszelkich instytucyi tego rodzaju, aby mogły się rozwijać i funkcyonować należycie. Jest-to przysługa, za którą społeczeństwo dobrodziejom swoim zazwyczaj hojnie się odpłaca.

*** **Nowe przedsiębiersiwo** organizuje się w naszem mieście, z inicyatywy p. A. D., właściciela dóbr, przebywającego czasowo w Warszawie. Będzie to akcyjne towarzystwo, mające na celu, dostawę do mieszkań wszelkich produktów spożywczych, i w ogóle artykułów codziennych potrzeb.

Inicyator przedsiębierstwa, człowiek zamożny, ofiaruje znaczny kapitał, a mianowicie połowę akcyi, których ma być 500 po 500 rs. i z przedstawieniem statutu odniósł się już do Petersburga.

Plany „towarzystwa" są zakreślone szeroko. Oprócz dostawy produktów, których wiele rodzin, szczególniej mieszkając w bardziej oddalonych dzielnicach miasta, nie może nabywać z pierwszej ręki, biuro pośredniczyć zamierza: w wynajmowaniu sług przychodnich i stałych, stręczeniu bon, guwernerów, guwernantek, wynajdywaniu mieszkań, ułatwianiu przeprowadzek, ekspedycyi towarów i t. p.

Czy przedsiębierstwo aż tak rozgałęzione, wymagające licznych pracowników, trzeźwych, rzetelnych i uczciwych, okaże się praktycznem i będzie mogło prosperować, nie wiemy, w każdym jednak razie zasługuje na uwagę, jako mające na celu dogodność dla ogółu.

*** **Ulubieniec dziatwy,** warszawski ogród zoologiczny, przygotowuje cały szereg ulepszeń i nowości, które z wiosną wejdą w wykonanie. Między innemi urządzane tam będą tombole, oświetlenie ogniami sztucznemi i t. p. W ubiegłą niedzielę zapowiedziana była próba ze ścioptikonem do niknących obrazów, których treść braną jest przeważnie ze świata zwierzęcego.

Cóż też uciechy dla malców!

W ostatnich czasach, nadeszło znowu do zwierzyńca kilka ciekawych okazów krajowych, antylopa zaś przywieziona z Afryki przez p. Janikowskiego, sprowadzoną będzie do Warszawy także z nadejściem wiosny.

Prócz tego, na powiększenie zbiorów, pewna zamożna dama ofiarowała 500 rs., może za dobrym przykładem i inni pospieszą, a w takim razie, komitet mógłby wyzyskać sposobność, która nie tak prędko się trafi i nabyć we Lwowie kilka bardzo pięknych zwierząt.

*** **Rozwój koszykarstwa** tak mało po wsiach uprawianego, dałby wielu ludziom nie trudny a korzystny zarobek. Należałoby tylko skorzystać z wikliny, obficie rosnącej w okolicach nadwiślańskich. Wiklina owa marnieje, a przestrzenie nią zarośnięte, uważane są za nieużytki, nie przynoszące dochodów.

Ludność miejscowa, wyrabiająca koszyki, opałki, wózki, mały ma ztąd zarobek, nic jej więc do tej pracy nie zachęca.

Ażeby wiklinę, dziś nieprodukcyjną, odpowiednio spożytkować i ludności wiejskiej dać możność zarobkowania, należałoby sprowadzić kilku majstrów, kompletnie w koszykarstwie uzdolnionych, którzyby miejscową ludność wyrobu delikatniejszych koszów nauczyli.

Wyroby te, znalazłyby niezawodnie chętnych nabywców, nietylko w kraju, ale i w Cesarstwie, nowy sposób zorobkowania wzbogaciłby okolicę, a wiklina dziś chwast, który trzeba plenić, stałaby się użyteczną.

WIADOMOŚCI Z ZAGRANICY.

*** **Nie bawią się!** Podczas, gdy w naszym kraju, pomimo najmniej sprzyjających warunków ekonomicznych, bale, wieczory i wieczorki utrzymują się w całej pełni, Włochy, kraina karnawałowych uciech, przeniewierzyły się odwiecznej tradycyi.

Mnóstwo cudzoziemców przybywa tam w obecnej porze, aby się przyjrzeć szalonym zabawom, ognistych dzieci Południa, w tym roku jednak amatorowie podoknych wrażeń, doznali smutnego zawodu. Na ulicach Rzymu pusto i głucho, jak gdyby wszyscy wymarli, w Wenecyi, z prwodu śmierci jednego z dygnitarzy, odwołano reduty publiczne, a w Neapolu i Florencyi nie udało się nawet zorganizować komitetu karnawałowych zabaw.

*** **Wachlarze** ks. Metternichowej, były przedmiotem prelekcyi, którą wypowiedział p. Falke dyrektor austryackiego muzeum.

Są to trzy piękne wachlarze balowe, nabyte przez księżnę, w Paryżu. Pochodzą one z ośmnastego wieku i zasługują na nazwę arcydzieł sztuki.

Trzonki są rzeźbione z masy perłowej i ozdobione figurami, wykonanemi w złocie *en relief*. Płaszcze wachlarzów malowane są nader kosztownie.

*** **Drugi rocznik artystyczny** wyszedł właśnie w Wiedniu, p. t. „Die Knust in Oestereich und Ungarn". W tym roczniku, oprócz wielu rzeczy nam obcych, znajdują się prace trzech polskich malarzy, życiorys Streita i jego obraz „Sprawa sercowa", Tadeusza Rybkowskiego „Orkiestra żydowska", życiorys Kozakiewicza i obraz „Opuszczona".

O ileż panowie artyści pędzla, od kolegów swoich po piórze za szczęśliwszych uważać się mogą! Kosmopolityczna ich mowa wszędzie trafi i przez każdego jest zrozumianą, oby też starali się przemawiać jak Matejko w duchu narodowym, nie pozując na niemców, włochów i szwajcarów, malowali rzeczy swojskie śmiało a serdecznie!

Słyszeliśmy również, że Tadeusz Rybkowski, przygotowuje w Wiedniu wystawę zbiorową kilkunastu obrazów i całej seryi szkiców, a na bal polski tegoroczny, wykonał w formie wachlarza obraz „Wesele huculskie", na którym kilkanaście osób należących do znakomitości krajowych między uczestnikami i widzami świetnie sportretował.

*** **Nieznany dotąd rodzaj sportu** zaprowadził w Paryżu malarz Jorain, przywódca złotej młodzieży, a mianowicie: wyścigi ślimaków. Torem jest długa, gładka deska, zaopatrzona u jednego końca światełkiem, ku któremu pełzają wyścigowcy. Na desce znajdują się przeszkody w postaci miniaturowych wzgórz i strumyków, a niejeden z szybkobiegaczy zasłużył już na nazwę znakomitego wyścigowca.

Doprawdy śliczna zabawka, godna ludzi dorosłych, którzy przecież musieli już coś zasłyszeć choć trochę o obowiązkach, o pracy i o niekoniecznie świetnem położeniu kraju. Caca dziateczki!

*** **Niegodziwy ojciec.** W cyrku Burela, w Singalia, zaaresztowano clowna, niemca, Franciszka Beckerta, za nieludzkie obchodzenie się z własnemi dziećmi. Nieszczęśliwe ofiary, w liczbie pięciu, pokryte literalnie guzami i ranami, złożyły przed sądem straszne zeznania. Okrutny ojciec katując dzieci w najokrutniejszy sposób, gdy nie mogły dość zręcznie wykonać trudnych łamańców sztuki cyrkowej, zawiązywał im usta, aby uniemożliwić płacz i krzyki.

A to wszystko, jak mówi, działa dla ich dobra, ponieważ pragnął *wykształcić ich należycie.*

Okropna metoda!

Po wyprowadzeniu śledztwa, niegodny ojciec pójdzie do więzienia, a dzieci, zapewne znajdą lepszą opiekę u obcych ludzi. Ale nie będą „artystami".

OD REDAKCYI.

☞ Tom dwunasty pism Alberta Wilczyńskiego, za miesiąc Grudzień już wyszedł z druku i obejmuje:

SIOSTRA MOJÉJ ŻONY.

OBRAZEK Z ŻYCIA WIESKIEGO.

Cena prenumeracyjna pism Alberta Wilczyńskiego:

Dla prenumeratorów „Tygodnika Mód i Powieści" *w Warszawie:*

za tom kop. 60; za tomów 12 rs. 7 k. 20

w Cesarstwie i na Prowincyi wraz z przesyłką pocztową:

za tom kop. 70; za tomów 12 rs. 8 k. 40

Dla nieprenumerujących „Tygodnika Mód i Powieści" *w Warszawie:*

za tom rs. 1 k. 20; za tomów 12 rs. 14 k. 40

w Cesarstwie i na Prowincyi wraz z przesyłką pocztową:

za tom rs. 1 k. 30; za tomów 12 rs. 15 k. 60

Należność prenumeracyjną można wnosić rocznie, półrocznie, kwartalnie, lub też za każdy tom oddzielnie.

Adres: J. K. Gregorowicz, w Warszawie, Widok Nr 3.

☞ Do dzisiejszego Nru Tygodnika dołącza się dodatek z drzeworytami.

Дозволено Цензурою. Варшава, 28 Января 1886 г. Redaktor J. K. Gregorowicz. Wydawca E. Skiwski. Druk E. Skiwskiego, Warszawa, Chmielna Nr 1530 (nowy 26).

Opis do N-ru 7.

N. 1—2. Ubrania wieczorowe.

N. 1. Suknia z podwójną draperyą.

Model do ryc. 1 odrobiony był z jasno niebieskiej faille i z blado niebieskiego koronkowego materyału. Gładka, niedochodząca do ziemi spódnica, ogarnirowana była trzema w kontrafałdy ułożonemi, jeden na drugi zachodzącemi wolantami, z których najwyższy przyszyty szwem odwracanym. Z przodu naszycie długiej koronkowej draperyi, podpiętej w górę z jednego boku, przykrywa krótka draperya fartuszkowa, a z tyłu sute bufiaste upięcie z prostych brytów materyi. Koronkowy plastron przyszyty wypustką z grubym sznureczkiem, do zapiętych na kryte haftki przodów stanika daje się także na plecach. Ubranie koronkowe złączone jest na ramionach kokardami.

N. 2. Suknia z długą draperyą.

Do odrobienia sukni użyty był aksamit oliwkowo zielony, adamaszek łososiowego koloru i takiż tiul w rzucik z oliwkowych sznelowych pentelek; z tego ostatniego upięta jest z przodu, na spodniej gładkiej spódniczce z materyi łososiowego koloru, długa, fałdzista draperya. Boczną draperyę stanowią prosto spuszczone fałdowane bryty z adamaszku, a tylną takież bryty aksamitne, na przodach i plecach stanika dane plastrony z aksamitu, jakie wskazuje ryc. 1 i 2. Rękawy gładkie adamaszkowe, pokryte są tiulem i przepinane paskami aksamitnemi.

N. 3–6 i ryc. 33 w N. 8. Stora do okna, ozdobiona kolorową gipiurową siatką.

Środkowy pas story stanowi siatka kolorowa 48 cent. szeroka, podszyta materyą czerwonawo lila; na siatce wyszyte są bajeczne gryfy, naprzemian z dwoma orłami; te ostatnie wyszyte są pojedyńczo na bocznych pasach, danych z żółtawo białego cienkiego materyału. Szerokość i długość story dopasować trzeba do miary okna. Tło siatki robić z bawełny czerwonawo lila, której grubość i wielkość oczek wskazuje ryc. 3 i 6. Pas siatkowy ma 90 c. szerokości; rodzaje ściegów dokładnie wskazują próbki. Ścieg cerowany robić trzeba bawełną białą *point d'esprit*, centki na koronce i kwadraciki, oraz ścieg gwiazdkowy w orle i gryfie jedwabiem białym kordonkowym. Muszki w środku figur, gałązki zdobiące figury cerowane, ściegi długie na kwadratach ażurowych robić jedwabiem żółtawym kordonkowym, który podwójnie wzięty służy do wywodzenia figur i do odziergania brzegu zębów koronki. Na ryc. 33 w N. 8 damy wzór do gryfa, na którym, chociaż znacznie zmniejszonym, znać dokładnie rodzaje ściegów. Gryfy od orłów przedziela 7 oczek, zaś orły między sobą i od brzegów pasa oddzielone są tylko jednem oczkiem. Orły na pasach brzeżnych można aplikować na wierzchu, lub tło wyciąć od spodu, brzegi tych figur trzeba do tła starannie przydziergać.

N. 13-14 i ryc. 24 i 25 w N. 8. Ubrania domowe i spacerowe.

N. 13 i ryc. 24 w N. 8. Suknia naszywana koronką.

Model do ryc. 13 i do 24 w N. 8 odrobiony był z wełnianego, czerwono bronzowego materyału i ozdobiony tak modną ciągle koronką wełnianą 10 cent. szeroką, koloru oliwkowo zielonego i czerwonego, której 2 rzędy obrócone do siebie, naszyte są 3 razy z przodu przez całą długość spódnicy, przedzielane 17 cent. szeroką kontrafałdą. Na sutą kilka razy podpiętą draperyą tylną i boczną, potrzeba bryta 264 cent. szerokiego a 105 długiego, którego brzegi podłużne są prosto spuszczone, a brzeg górny ściśle sfałdowany i w pasek wszyty. Na staniku z krótką baskiną i krótkim bawetem, koronka zdobi nietylko przody i plecy, lecz naszyta jest także gładko 14 cent. szeroko na boczkach. Karoczko przy plecach i mankiety z fałdowanej koronki.

N. 14, 30 i ryc. 25 w N. 8. Suknia z długą draperyą.

Model sukni odrobiony był z wełnianego granatowego materyału, z dodanemi w sztuce szlakami, 28 cent. szerokiemi, i z przyrabianą, 14 cent. szeroką frendzlą; do ubrania służył plusz ciemno czerwony. Dół spódnicy oszyty jest plisowaniem 36 cent. szerokiem. Na sutą spódniczkową draperyę potrzeba dwóch brytów, do których mały model i miary dajemy na ryc. 30. Przednią i boczną draperyę stanowi bryt *a*, przyfałdowany podług krzyżyków i kropek i zeszyty z tylnym brytem *b*, którego upięcie wskazuje ryc. 25 w N. 8. Pod otwarte przody stanika, zakończone z brzegów dwoma fałdami, dodany jest plastron kamizelkowy pluszowy. Części paska w ząb ściętego, ranwersy 7 c. szerokie przy baskinie stanika, kołnierzyk i mankiety są także pluszowe. Taką suknię można także zrobić z gładkiego materyału, zastępując szlak obłożeniem z oddzielnie dobranego materyału, a frendzlę dać przyszytą.

N. 15—16. Kołnierzyk i mankiety ze sznureczka złotego, szneli i filozeli czarnej, robione na warstaciku tkackim trzema czółenkami.

N. 17. Żabot chusteczkowy ozdobiony kokardami.

Żabot zrobiony był z bardzo cienkiego żółtawego muślinu; pod część środkową ułożoną w drobne fałdy z podwójnego skosu, poddać trzeba kawałek sztywnego muślinu, mający 32 cent. długości, 19 górnej a 4 dolnej szerokości. Boki zdobi podwójny skos muślinu, złożony w jedną $2\frac{1}{2}$ cent. szeroką i 3 wązkie fałdy; brzegi dolne fałd założone są jeden na drugi i spięte kokardą. Pasek kołnierzowy, 25 cent. długi, także w fałdy złożony, z jednej strony przyszyty, z drugiej przypięty na haftkę do żabotu Kokardy z żółtawej, $3\frac{1}{2}$ cent. szerokiej atłasowej wstążki.

N. 19. Chusteczka „Marie Antoinette;” model kroju na ryc. 29. Przód zobaczyć na ryc. 1 w N. 8.

Chusteczkę zrobioną z haftowanego tiulu albo z koronkowego materyału, oszywa się nadmarszczoną, 13 cent. szeroką koronką, której potrzeba $9\frac{1}{2}$ metra. Przed oszyciem założyć trzeba fałdki wskazane na ryc. 29. Końce skrzyżowane z przodu, spięte są z tyłu kokardą ze wstążki w atłasie, 9 cent. szerokiej.

N. 25. Stanik z plastronem i paskiem gorsecikowym.

Przody stanika ozdobione marszczonym garnirunkiem, zapinają się na środku pod plastronem, przypinanym z boków na haftki. Plastron, części kamizelkowe z przodu 7, z boków 4 cent. szerokie i kołnierzyk stojący dane są z pluszu. Na części garnirunkowe wszyte pomiędzy szwy na ramionach i na plastron, dodany jest zwierzchu pasek gorsecikowy 14 c. wysoki, wszyty w pierwszą zaszewkę, na środku zasznurowany. Rękawy zakończone 5 c. szerokim paskiem fałdowanym i 7 cent. wysokiemi patkami pluszowemi.

N. 26. Kapotka aksamitna.

Fason kapotki pokryty jest czarnym aksamitem, danym z boków gładko, a z przodu i z tyłu suto sfałdowanym; fałdy przy brzegu tylnym podwinięte są do spodu i przykrywają przypięcie wstążek atłasowych 9 cent. szerokich a 92 cent. długich, związanych pod brodą. Rondko dyademowe w środku 7, w brzegach tylnych 2 cent. szerokie, pokryte barankami astrachańskiemi. Pęk krótkich piór strusich stanowi przybranie.

N. 27 i 28. Kapturek aksamitny.

Główkę kapturka stanowi denko okrągłe aksamitne, mające 41 cent. średnicy, pod które daje się muślin podszewkowy i materyalną podszewkę. Do przyfałdowanej przedniej części denka przyszyć trzeba czółko, przykrojone podług ryc. 28, podszyte bardzo sztywnym muślinem i aksamitem. Brzeg tylny główki trzeba także podług głowy przyfałdować i dodać do niego karczek, zrobiony z 92 cent. koronki 15 cent. szerokiej, w górnym brzegu przemarszczony w małą bufkę, przyszytą na kawałku wstążki, 27 cent. długiej a 3 c. szerokiej. Barbki 88 c. długie, zrobione są z koronki 12 cent. szerokiej, w środku wzdłuż zeszytej. Garnirunek dany także z koronki w środku zeszytej na 2 strony, zmarszczonej i ułożonej w sposób wskazany na ryc. 27, nad czołem suto i w górę odstająco, a z boków płaściej; koronka powinna wystawać 4 cent. za brzeg czółka. Kokardy z 6 cent. szerokiej atłasowej wstążki.

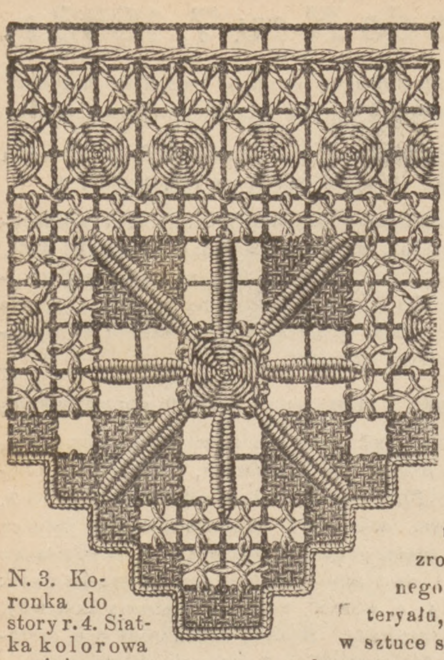
N. 34 i ryc. 21. Czepeczek koronkowy dla starszej osoby. Zobaczyć czepeczek z tyłu na r. 38 w N. 8.

Czółko do czepeczka przykroić trzeba podług modelu danego na ryc. 21 ze sztywnego tiulu, objąć wkoło agremanem i oszyć wązką wstążeczką, a końce złączyć z tyłu 16 cent. długim kawałkiem agremanu Do 205 cent. długiego kawałka czarnej koronki chantilly, 12 cent. szerokiej, trzeba w jednym końcu przyszyć na denko drugi kawałek 60 cent. długi, obrócony ząbkami do brzegu prostego pierwszej koronki. Tak zeszytą część trzeba przy prostym brzegu przyfałdować, w odstępie 1 cent. od zębów trochę przymarszczyć i przyszyć do tylnego brzegu czółka. Dłuższy pojedyńczy koniec koronki trzeba trochę przymarszczyć, z boków naszyć na czółku wachlarzowo, a na środku zgrabnie ku czołu spuścić, przyczem czółko musi być zupełnie przykryte, a koronka powinna wystawać z boków na 3—4 a na środku na 5 cent. Jedną sutą rozetę z wązkiej lila wstężeczki ottoman przypiąć na środku



N: 1—2. Ubrania wieczorowe.

N. 1. Suknia z podwójną draperyą. N. 2. Suknia z długą draperyą.

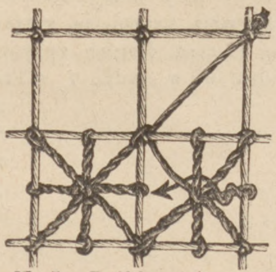


N. 3. Koronka do story r. 4. Siatka kolorowa gipiurowa.

a drugą z boku pomiędzy koronką. Pukle i końce 12-20 cent. długie, ze wstążki 2 c. szerokiej, przypiąć z tyłu na środku pod koronką.

N. 35—36. Sukienka z vêtement dla panienki lat 9—11.

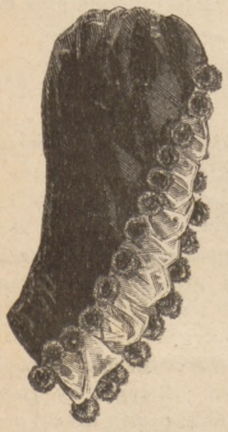
Ryc. 35 przedstawia z tyłu sukienkę, zrobioną z wełnianego piaskowego materyału, z dopasowanym w sztuce szlakiem arabeskowym, w kolorze niebieskim i ponsowym. Na ryc. 36 dajemy sukienkę, której spódniczka jest w pasy ponsowe i écru, a vêtement z gładkiej wełnianej krepy, oszyte koronką wełnianą takiego jak materyał koloru. Pod otwarte, na ramionach zmarszczone przody vêtement dodany jest 46 cent. długi, a 45 szeroki plastron z materyału w pasy, złożony w



N. 5. Próbka ściegu w gwiazdki do ryc. 4.



N. 4. Stora do okna z gipiurą siatkową. Zobaczyć także ryc. 3, 5, 6 i ryc. 33 w N. 8.

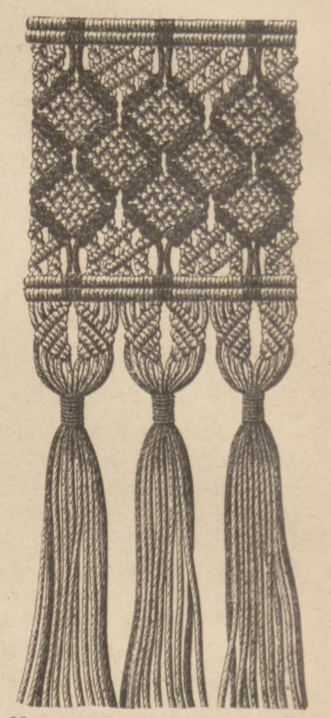


N. 7. Rękaw do ryc. 44 w N. 8.

podwójne kontrafałdy. Trochę zaokrąglone u dołu przody vêtement, mające 128 cent. długości, są z brzegów zmarszczone do długości stanika z baskiną i złączone z przodu szarfami 40 cent. długiemi. Brzegi tylne przodów wraz z boczkami także sfałdowane, podchodzą pod tylną kokardę, złożoną z pukla 30 c. długiego a 50 szerokiego i z dwóch równie szerokich, a 26 i 30 cent. długich końcy. Przyszycie szarfy pokrywa bufa 14 cent. szeroka, dodana do plecków. Kołnierz spiczasty wykładany, w środku 12 cent. szeroki, jest z ciemniejszego aksamitu.

N. 42 i 11. Suknia strojna wizytowa z gorsecikowym stanikiem. Model kroju draperyi na ryc. 31.

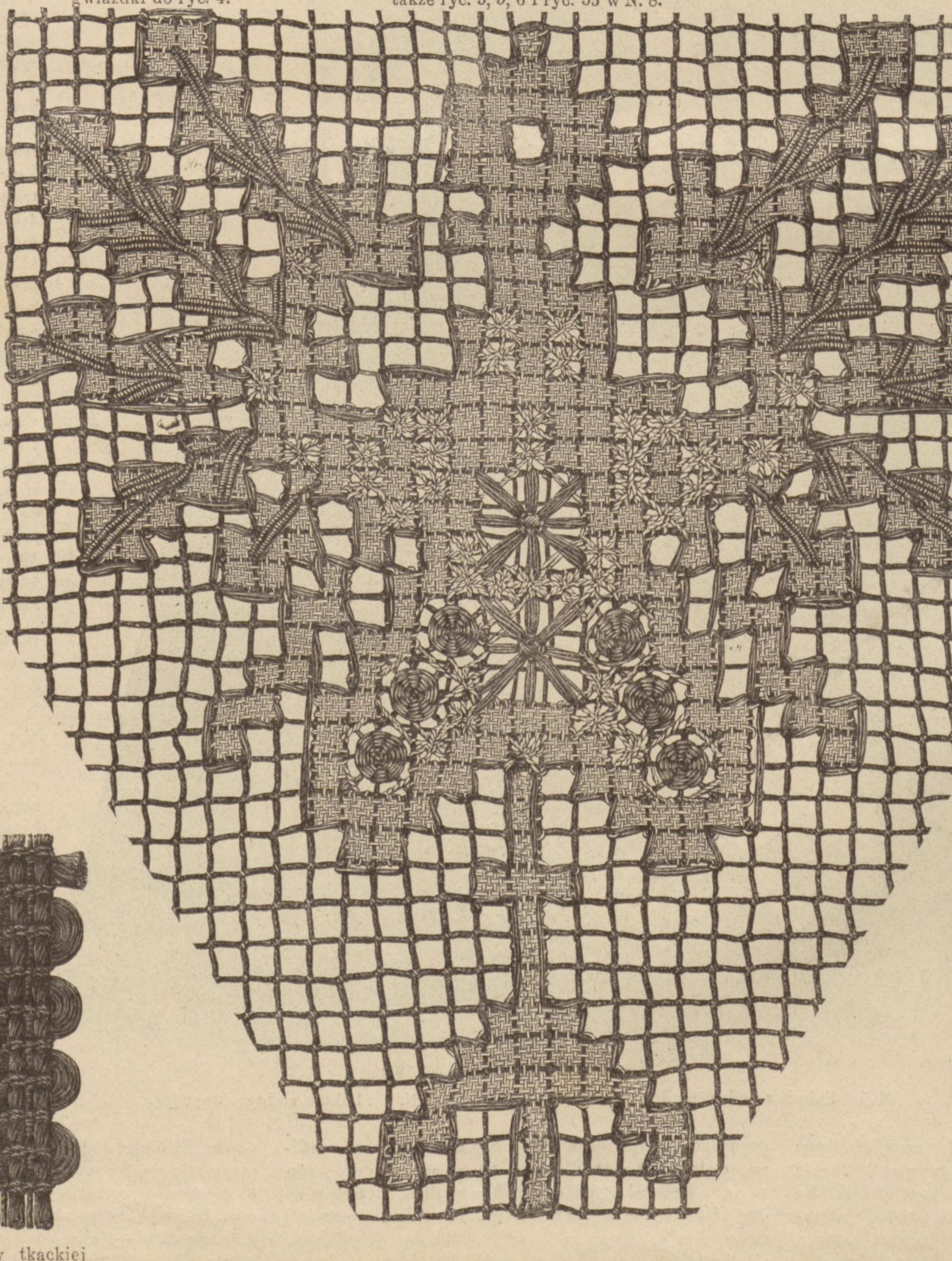
Do spódnicy w pasy aksamitne i jedwabne draperya i stanik są z cienkiego wełnianego materyału. Na ryc. 31 dajemy mały model draperyi, na którym ciemniejsze linijki oznaczają miejsca, które podszywa się gładkim aksamitem i wywija na ranwers; *a* oznacza górną, fartuszkową część draperyi, którą fałduje się podług znaków z jednego brzegu, z drugiego podszywa się aksamitem i wywija na wierzch krzyżykiem do krzyżyka, a od gwiazdki do gwiazdki składa w dwa pukle. Druga, długo spuszczona z przodu część draperyi *b* kraje się razem z draperyą tylną; część środkową od kropki do kropki odwija się w górę, a całą draperyę upina w sposób wskazany na r. 11. Części gorsecikowe stanika, wszyte między pierwsze zaszewki, spięte są tylko w pasie klamrą, a dalej dają widzieć szmizetkę fałdowaną z tego co spódnica materyału. Do ozdobienia sukni służą grelotki z pereł.



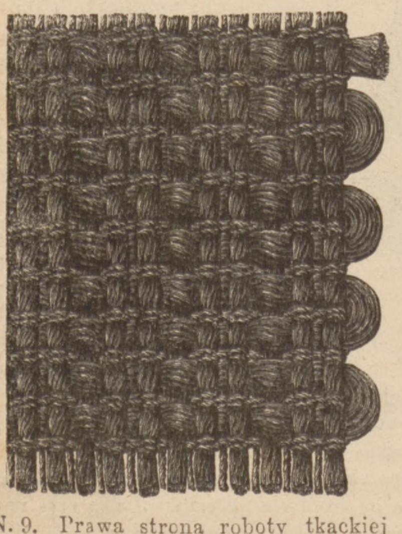
N. 8. Frendzla macramé do żabotu ryc. 28 w N. 8.

N. 43. Suknia z żabotem z dżetu lub z pereł. Próbka roboty na ryc. 41.

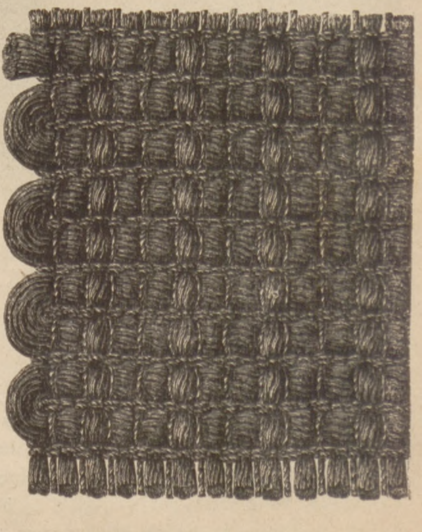
Spódnica à la paysanne, ozdrobiona z jasnej materyi, podpięta rozetami i szarfami, otwarta jest z lewego boku, a przez otwór widać poddaną od spodu część z deseniowej jedwabnej grenadyny, wyszytą dżetem, a mającą 22 c. dolnej szerokości. Przy staniku mocno podciętym na biodrach, z bawetem otwartym przy pleckach, można żabot paciorkowy zastąpić plastronem z grenadyny takiej jak przy spódnicy. Próbkę roboty kołnierza wraz z grelotkami dajemy na ryc. 41 w naturalnej wielkości. Żabot w ząb zakończony składa się z takich pasków stopniowanej długości; górny najdłuższy pasek liczy 10 grelotek, które mijają się w dalszych rzędach.



N. 6. Orzeł do firanki ryc. 4. Siatka gipiurowa. Zobaczyć także ryc. 3, 5 i ryc. 33 w N. 8.



N. 9. Prawa strona roboty tkackiej dwoma czółenkami na warstaciku ręcznym, do ryc. 26 w N. 8.



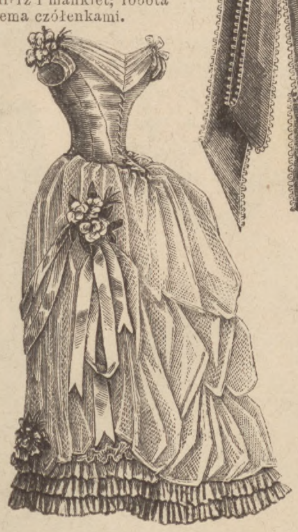
N. 10. Lewa strona roboty tkackiej do ryc. 26 w N. 8.



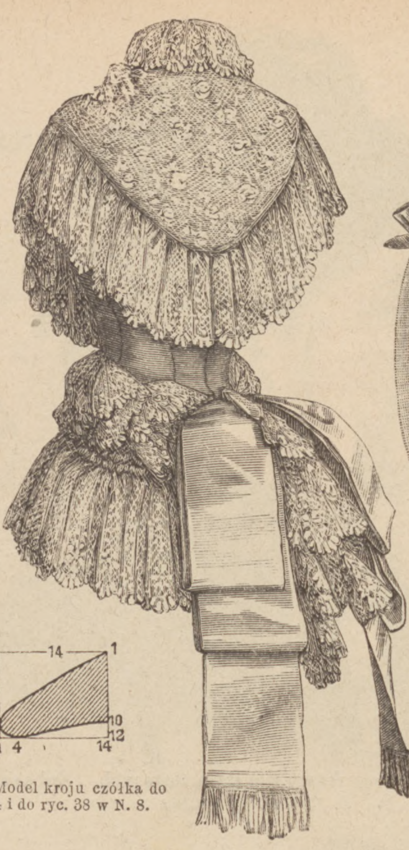
N. 15—16. Kołnierz i mankiet; robota tkacka trzema czółenkami.



N. 11. Widok pleców do ryc. 42.

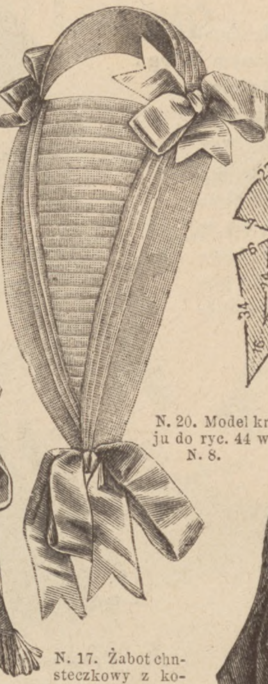


N. 12. Plecy do r. 17 w N. 8.



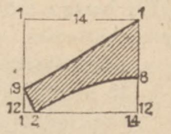
N. 19. Chusteczka „Marie Antoinette.” Zobaczyć przód na ryc. 1 w N. 8. Model kroju na ryc. 29.

N. 21. Model kroju czółka do ryc. 34 i do ryc. 38 w N. 8.

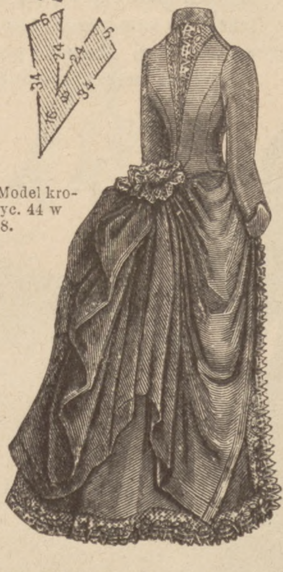


N. 17. Żabot chusteczkowy z kokardami.

N. 20. Model kroju do ryc. 44 w N. 8.



N. 18. Model kroju do ryc. 4 i 27 w N. 8.



N. 13. Suknia ubrana koronką. Zobaczyć przód na r. 24 w N. 8.



N. 14. Suknia z długą draperyą. Zobaczyć plecy na ryc. 25 w N. 8.

Opis do N-ru 8.

N. 1. Opis przy ryc. 19 w N. 7.

N. 2. Suknia z upięciem z kwiatów na staniku.

Gładki stanik z blado różowego atłasu, scięty w krótki bawet z przodu i z tyłu i zakończony grubą podwójną wypustką, jest sznurowany z tyłu, a wykrój szyi wszyty w kołnierzyk stojący, 5 cent. szeroki, zapięty z tyłu na haftki. Oryginalne przybranie chusteczkowe na staniku ułożone jest z gałązek blado różowych powojów, podług ryc. 2. Kokardki z różowej atłasowej wstążki 2½ c. szerokiej dane są między kwiatami, przy kołnierzyku i u rękawów sięgających do łokcia.

N. 3 i 8. Uczesanie z ozdobnemi szpilkami.

Potrzeba rozdzielić włosy najpierw poprzecznie przez głowę, a następnie przez środek nad czołem część przednią rozdziela się na dwie połowy. Tylna część włosów zaczesana w górę zwija się w jeden rulon i upina na wierzchu głowy. Włosy pozostawione z przodu odczesują się do tyłu lekko zakarbowane i upinają w pukle po bokach środkowego węzła. Ryc. 8 przedstawia jedną z ozdobnych szyldkretowych szpilek, wpiętych między puklami.

N. 4 i 37. Ubranko z zębem à la Marie Stuart. Patrz ryc. 18 w N. 7.

Podstawę stanowi pasek sztywnego tiulu; wymierzony podług ryc. 18 w N. 7 Tyg. Mód, oszyty drucikiem i pokryty zwierzchu aksamitem; tylny brzeg tego czółka ogarnirowany jest suto namarszczoną, wachlarzowo ułożoną koronką, 10 c. szeroką (200 cent. długości) nad zębem odwróconą do przodu. Przedni brzeg czółka zakończają duże perły; gałązka rozwiniętej róży, przypięta z tyłu, zdobi ubranko.

N. 5. Wianeczek i bukiet do przypięcia na ramieniu.

Zarówno jak do bukietów zdobiących suknię, tak do wianeczków lub gałązek do głowy, dodają pu-



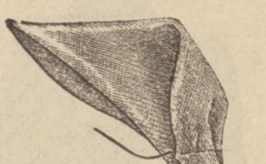
N. 22. Bukiecik do poduszki ryc. 18 w N. 8. Haft szenelą i kwiaty z krepy. Wzór roboty na r. 23 i 24.



N. 26. Kapotka aksamitna.



N. 23. Robota listka do róży krepowej ryc. 22.



N. 23. Robota pączka krepowego do ryc. 22.



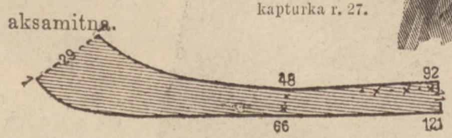
N. 27. Kapturek aksamitny. Krój czółka na ryc. 28.



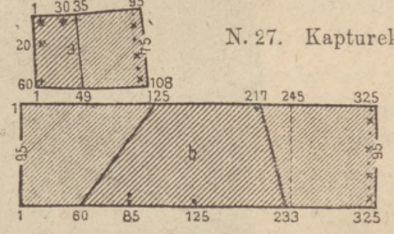
N. 28. Czółko do kapturka r. 27.



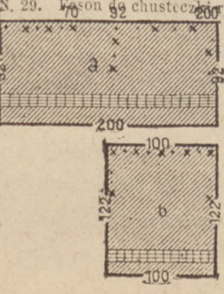
N. 25. Stanik z plastronem i paskiem gorsecikowym.



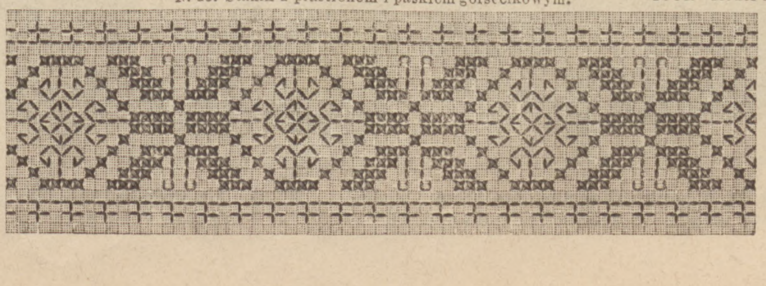
N. 29. Fason do chusteczki ryc. 19 i ryc. 1 w N. 8.



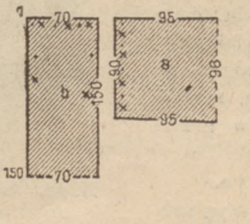
N. 31. Model kroju draperyi do ryc. 11 i 42.



N. 30. Model kroju draperyi do ryc. 14 i do ryc. 25 w N. 8.



N. 33. Szlaczek. Haft krzyżowy i ściegiem pojedyńczym.



N. 32. Model kroju draperyi do ryc. 16 i 41 w N. 8.

kle i końce z wstążki. Od chwili gdy moda rękawki przy stanikach balowych zastąpiła bukietami kwiatów, układają je bardzo starannie , zdobiąc fantazyjnie wstążką. Ryc. 5 przedstawia wianek na głowę i upięcie do ramienia z piwonii, złotowłosu i wstążki 3 cent. szerokiej.

N. 6. Stanik balowy zdobny bertą z trójkątnych chusteczek.

Dwie koronkowe trójkątne chusteczki, przy górnym brzegu przemarszczone i odwinięte w wykład 8 cent. szeroki, otaczają górny wykrój stanika. Jak to widać na ryc. 6, końce chusteczek przewiązują się w węzły na ramionach, a pozostałe rogi złączone poniżej ręki tworzą króciut-

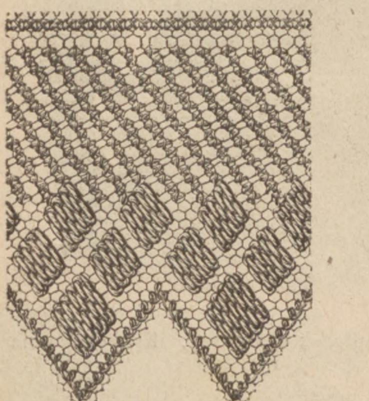


N. 35. Sukienka z vêtement dla panienki lat 9—10. Zobaczyć przód na ryc. 36.

kie rękawki. Oryginalna krawatka składa się z 5 cent. szerokiego paska materyi takiej jak suknia, pokrytego tiulem i zapiętego z przodu koronkową kokardą w kształcie motyla, przytwierdzoną ozdobnemi szpilkami z łańcuszkiem. We włosach róże złączone kokardą z wstążki, z pod której wysuwa się kitka z piór.

N. 7. Uczesanie ze spuszczonemi włosami.

Odpowiednie dla młodej panienki nawet do wieczorowego ubrania, da się zastosować przy niewielkich własnych włosach, które odczesują się do tyłu,



N. 40. Koronka cerowana na tiulu, do garnirowania chusteczek, czepeczków i t. p.

dość luźno związują wstążką i spuszczają w jednym długim loku. Na staniku sznurowanym z tyłu dane przybranie w kształcie bretelek spiętych na ramionach sutemi kokardami. Długie rękawiczki trykotowe, zdobne są wyszyciem jedwabnem w guście rococo.

N. 9—12. Biżuterye.

Ryc. 9 i 12 przedstawia oryginalny naszyjnik i grzebień ozdobny, ułożone z kółek i trybów zegarowych; ten wybryk mody przechodzi do nas z Anglii. Kółka te grubo złocone lub oksydowane, ozdobione na środku perłą lub granatem, zapomocą drobnych ogniwek łączone są na naszyjniki lub bransoletki, zaś ściśle z sobą spojone stanowią ozdobny grzebień jak na ryc. 9. Ryc. 10 i 11 przedstawiają nowy rodzaj porte bonheur, naśladujący starożytne egipskie amulety.



N. 34. Czepeczek koronkowy dla dam starszych. Zobaczyć ryc. 38 w N. 8. Model kroju czółka na ryc. 21.



N. 37—39. Modne jedwabne kolorowe pończochy.

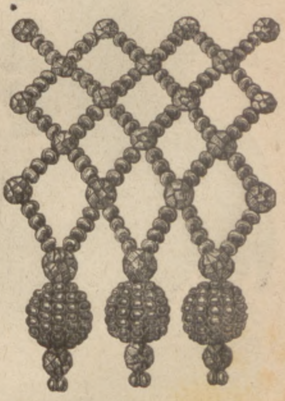
N. 13-15. Krzyżyk robotą filigranową.

Cieniutki srebrny drucik i złoty bajorek stanowią materyał na filigranowe listki, ułożone następnie w kształt krzyżyka. Jak to wskazuje ryc. 13, na ramiona krzyżyka potrzeba 22 listki ró-



N. 36. Sukienka dla panienki lat 9—11. Zobaczyć plecy na ryc. 35.

wnej wielkości, z których 6 składa górne ramię, 8 dolne, a po 4 listki na boczne. Na skrzyżowaniu dany kwiateczek z pięciu trochę mniejszych listeczków. Ryc. 14 przedstawia listek w naturalnej wielkości, a ryc. 15 wskazuje trochę w powiększeniu zaczęcie listka; środek dany z kawałka drucika 3-4 cent. długiego, w pośrodku okręconego ściśle bajorkiem złotym. Wokoło tego środeczka okręca się owalnie drucik, tak aby się nie rozsuwał; po 6—8 rzędach listek jest skończony, a drucik podwija się pod spód i zagina aby się nie zaczepiał. Krzyżyk robi



N. 41. Próbka roboty z perełek z grelotkami do żabotu ryc. 43.

się z dwóch pręcików grubego drutu do których przykręcają się listki. Kwiatek dodany na złączeniu ramion, ma środeczek z kilku kawałeczków bajorka, nawleczonych na druciki.

(*D. n.*)



N. 42. Suknia z gorsecikowym stanikiem. Zobaczyć plecy na ryc. 11, model kroju na ryc. 31.

N. 43. Ubranie z żabotem z perełek. Próbka roboty na ryc. 41.